PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK IV * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 17 PAŹDZIERNIKA 1936 R. * NUMER 41 (158)

KAROL IRZYKOWSKI:

ROZWAŻANIA METAPOLITYCZNE

LIBERALIZM, SOCJALIZM, DYKTATURYZM, PLANIZM *

DAWNE PRÓBY PSYCHOTECHNIKI

Nigdy w dziejach nie brakło śmiałków, którzy chcieli zmieniać świat i ludzi, ale ich czyny były raczej wyładowywaniem się silnej woli niż świadomą swego buntu psychotechniką, antropotechniką, historiotechniką, kulturotechniką. Egipcjanie pokonali Nil, ale Nil był też bogiem, który się z nimi solidaryzował. Wielcy zdobywcy połykali kraje i państwa, narzucali im religie, wyrzynali w pień całe narody, ale np. już osadnictwa uprawiali bardzo niewiele.

Psychotechnikami byli oczywiście politycy i dyplomaci, to było ich zawodem. Zwłaszcza przy paradoksalnych zabiegach i wybiegach występuje moment psychotechniczny dość wybitnie. Gdy Temistokles doradził królowi perskiemu, żeby otoczył okręty greckie pod Salaminą, za pomocą tej chwilowej zdrady wydobył z floty maximum jej sprawności i waleczności. *Książę* Machiavellego zawiera dużo chytrych porad, jak władca ma uzyskiwać *prestige* u poddanych, np. że niezbędne okrucieństwa trzeba popełniać energicznie i tylko jeden raz, natomiast dobrodziejstwa rozkładać sobie na raty, aby wciąż o nich mówiono. Jest tam też mowa o takich chwytach, jak że książę powinien siać waśni w swym kraju, aby go lepiej opanować *(divide et impera)*, jak że należy podszczuwać nieprzyjaciół do wystąpienia, aby przez zwycięstwo nad nimi wzmocnić swą potęgę. Sławny był ustęp o tym, że panujący może w pewnych wypadkach nie dotrzymać słowa danego poddanym; można go rozumieć jako umiejętność manipulowania widokami przyszłości. Dużo się też mówi o znaczeniu pozorów, że wydawać się jest ważniejsze od być: niemal analogia do tezy Fontenellea, mylnie przypisywanej Napoleonowi, że historia jest konwencją.

Na ogół jednak stosunki były dawniej tak ustabilizowane, że można było myśleć tylko o ich zmianie mechanicznej: przez wojnę. Życie ludzkie było zbyt krótkie i niepewne, żeby warto było myśleć o planowym uszczęśliwianiu go już tu na ziemi. Za to kościół rozwijał dość dużą lecz niewybredną psychotechnikę, aby dusze ulepszać ku dobremu i oczyszczać je z t. zw. grzechów. Gdy jezuici chcieli ją zmodernizować, mimo swych trafnych planów nie mieli szczęścia. Obok kościoła wojsko i wojna były zawsze najulubieńszym laboratorium psychotechnicznym, państewkiem w państwie. Tu można było dusze urabiać bezpośrednio przez wpływ osobisty wodzów i pośrednio przez zarządzenia organizacyjne. Cel był tu zawsze prosty i jasny: zwycięstwo, do którego drogami były dyscyplina i sprawność. Natomiast cele państwa wydawały się wówczas nieprzejrzyste i abstrakcyjne. Dlatego główny akcent aktywności historycznej spoczywał na wojnach, ciułaniu i konserwowaniu zdobyczy i t. p.

Zajmowano się wprawdzie zawsze układaniem utopij, lecz sama utopijność nie była jeszcze problemem. I tak zdarzały się projekty sztucznego języka międzynarodowego (ostatnio volapück i esperanto). O tych próbach potępiający sąd wydają estetycy (Croce w swej *Estetyce*) i lingwiści (Mauthner w *Kritik der Sprache*). Być może dlatego, że ich nastawienie światopoglądowe jest jeszcze nawskroś liberalne, więc sceptyczne. Sowiety z początku odniosły się bardzo przyjaźnie do esperanta, jako do narzędzia postępu; jeżeli je potem odrzuciły, to tylko dlatego, że i ono zostało posądzone o pochodzenie burżuazyjne. Obecnie Sowiety postarały się o podobny eksperyment, zapewne już proletariackiego pochodzenia, mianowicie, żeby zrobić wspólny język ze wszystkich języków narodowości zamieszkujących republikę sowiecką. Ideologiem tego pomysłu czy inżynierem jest N. J. Marr, który postawił teorię „jafetyczną". Według tego, co o niej słychać, nie chodzi o twór całkowicie sztuczny, lecz o przyśpieszenie czy wyprzedzenie naturalnej ewolucji lingwistycznej, w związku oczywiście z nową gospodarką. Maszynką, przy której pomocy przewiduje się ten rozwój, jest metoda materializmu dialektycznego. „Zadaniem językoznawstwa — powiada Marr — jest opanowanie techniki twórczości językowej, aby ułatwić i przyśpieszyć urzeczywistniany i tak już obecnie proces unifikacji językowej". Emigranci polityczni narodów uciśnionych w Z. S. R. R., zrzeszeni w organizacji „Prometeusz", urządzili właśnie niedawno w Warszawie kongres dla protestu przeciw tym zakusom. Ale rozmaszek burczo-twórczy, to tam w Rosji jest. Niemcy miałyby ochotę czegoś podobnego spróbować na polu religii. A ileż to razy słyszy się także u nas wśród inteligentów: potrzebna jest jakaś nowa religia, ale jaka?

A propos Prometeusza, ten patron jest już niemodny. Zanadto obciążony sentymentalizmem, za dużo miał do czynienia z jakimiś bogami. Haldane w szkicu *Dedal czyli wiedza i przyszłość* powiada, że o wiele bardziej interesującą postacią mitologiczną jest budowniczy Dedal, człowiek prawdziwie nowoczesny, o którego zatargach z bogami nic się nie słyszy, nie tylko rzeźbiarz realistyczny i wynalazca skrzydeł, lecz także biolog-eksperymentator: wyhodował Minotaura.

Wracam jednak do głównego toku swoich spostrzeżeń i uwag. Otóż kiedy wskutek postępów technicznych życie stało się płynniejsze a wskutek postępów medycyny i stosunków bezpieczeństwa także dłuższe, sprawa tuziemskości czyli zagospodarowania się na tym padole stała się aktualną i realniejszą od życia pozagrobowego i wtedy wystąpiły wątpliwości wielorakie. Sama idea postępu jakby się rozdwoiła. A rozdwojenie to odpowiada dwom cechom natury ludzkiej: dążeniu do absolutnej wolności i dążeniu do absolutnego panowania nad sobą. Trywialny przykład: kto wieczorem upije się a potem zmusza się, by rano wstać, przeżywa tę dwoistość z jednego dnia na drugi, jest to ta sama wola lecz z przełącznikiem. Człowiek daje sobie upust lub gwałci sam siebie, przegłosowuje sam siebie. W jego głowie jest parlamencik, który uchwala większością, a w razie potrzeby czy niebezpieczeństwa wyłania z siebie dyktatora.

MAMA LIBERALIZM

Liberalizm jak dobroduszna matka wychował na swym łonie i rozwinął te sprzeczności, tych kilka par kłótliwych dzieci, a potem i wnuków. Przede wszystkim: wolność a skrępowanie, przymus (w polityce); wolny interes a reglamentacja (w gospodarce); powtóre: jednostka a kolektyw, wiara w człowieka a wiara w organizację, prócz tego: społeczeństwo a państwo; dalej witalizm (natura, życie) a sztuczność czyli gwałt zadawa-

* Dalszy ciąg artykułu „Prymat psychotechniki", vide *Pion* nr 155.

KOMENTARZE

Umarł blok złoty. Właściwie, jeszcze przed zgonem odprawiono nad nim pienia żałobne. Już od dłuższego czasu odzywał się raz po raz głęboki i poważny bas londyńskich *Financial News*, które niemal codziennie, o tej samej godzinie, wygłaszały tę samą, ponurą formułę: frank musi być zdewaluowany.

Sprawa była tedy od dawna przesądzona. Tak, że gdy ster rządów objął we Francji p. Blum i wygłosił swoje słynne motto finansowe: „ani deflacja ani dewaluacja" — można było ulegać magicznemu czarowi tych słów, echo jednak odpowiadało niezmiennie: „albo — albo". Raczej to drugie „albo", gdyż, zważywszy na polityczny rodowód rządu p. Bluma i wewnętrzną sytuację we Francji, powrót do metod Poincarégo był zgoła niemożliwy. Pozostała więc — jeszcze jedna dewaluacja.

Pisząc „jeszcze jedna" nie rozpoczynamy cyklu bynajmniej od roku 1914, kiedy to frank wart był naprawdę dwadzieścia sous. Zaczęło się o wiele dawniej, chyba od czasu kiedy wybito pierwsze monety. Można twierdzić z zupełną słusznością, że historia państw jest historią kolejnych deprecjacyj ich walut. „Funt — mówi historyk francuski — który był funtem za czasów Karola Wielkiego — jest dziś już tylko kartką papieru. Różnica zaś wyobraża to, cośmy wydali, aby stać się i pozostać Francuzami".

Tak, ale tym razem nie skończyło się na franku i „zaprzyjaźnione" waluty jedna po drugiej szły za dźwiękami fletu paryskiego czarodzieja. Trzeba przyznać, że pogrzeb był pierwszej klasy. Z prochów bloku złotego uleciał w niebo ptak-dziwo o pysznej nazwie „Porozumienie Monetarne Trzech". Rozwinął skrzydła od Londynu aż po Nowy York i błysnął w słońcu barwnymi piórami powszechnej stabilizacji. Widok był, zaiste, wspaniały, ale cóż kiedy trwał tak krótko! — W chwilę potem już wiedziano, że stosunek dolara do funta nie będzie ustalony. A o to przecież chodziło...

*

Nie ma chyba wdzięczniejszego tematu do przemówień jak rozwijanie zasad demokracji. Genewskie mowy ministrów spraw zagranicznych Anglii i Francji, przepojone duchem prawdziwego demokratyzmu, przyjęło Zgromadzenie Ligi ze szczerym i zasłużonym uznaniem. Przytakiwano p. Edenowi, gdy ubolewał nad tym, że Lidze brak uniwersalności, oklaskiwano gorąco piękną transpozycję międzynarodową francuskich „trzech chwalebnych": wolności, równości i braterstwa, w interpretacji p. Delbosa.

Rozważania ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii na temat reformy paktu spotkały się z gorącą, choć częściową tylko aprobatą jego francuskiego kolegi. P. Delbos poparł z całym przekonaniem projekt zmiany art. 11. idący w kierunku zerwania z zasadą jednomyślności, uniemożliwiającą Radzie pobranie skutecznych decyzyj. Przyklasnął idei paktów regionalnych, na którą od niedawna dopiero nawrócili się Anglicy. Natomiast przeszedł bez entuzjazmu nad kilku innymi punktami przemówienia p. Edena, jak sprawa rewizji traktatów (art. 19) i oddzielenia ich od paktu. A są to właśnie warunki, na których podstawie zgodziłyby się może wejść do Ligi dwa państwa, z których jedno nie ratyfikowało paktu, drugie zaś nie dotrzymało zobowiązań traktatowych.

W tym dialogu mężów stanu dwóch mocarstw europejskich dwa zdania brzmiały twardo i dobitnie:

P. Eden: — Anglia się zbroi i zbroić się będzie dopóty, dopóki nie zostanie zawarta powszechna konwencja w sprawie ograniczenia i zmniejszenia zbrojeń.

P. Delbos: — Przesilenie, otwarte 7 marca (zajęcie Nadrenii przez wojska niemieckie), nie jest zakończone.

Ogólny ton obu przemówień świadczył o wyraźnym zacieśnieniu się współpracy angielsko-francuskiej.

A gdy będzie słońce i pogoda... gdy minie sezon deszczowy — mówił upełnomocniony i zweryfikowany delegat abisyński p. Teazar — wojska włoskie pomaszerują do Gore.

*

Od dwóch przeszło miesięcy trwają walki w Hiszpanii. Generał Franco otrzymał od rządu powstańczego w Burgos uprawnienia przysługujące głowie państwa. A w Madrycie... Stalin czy Trocki? — pytaliśmy do niedawna. Dziś odpowiadają nam: Bakunin. W rzeczywistości władzę sprawuje w Madrycie anarchia. W tym następstwie jest, niestety, żelazna logika. Prawo równi pochyłej jest i w polityce niemal kanonem. Nic dziwnego, że mowa hiszpańskiego ministra spraw zagranicznych p. del Vayo („nieinterwencja to blokada") przeszła w Genewie bez echa.

ny naturze, życiu, — zadawany również przez naturę i życie, co jest starą kwestią, błędnym kołem; od tej bardzo ważnej pary pochodzą: bezplanowość i planizm, ewentualnie: komplikacjonizm i dekomplikacjonizm, skrupulność (sceptycyzm) i bezceregielny czyn, gordyjskość i Aleksander Wielki, tolerancja i dogmatyzm, sentymentalizm i tragizm (jednak obydwa w cudzysłowie); następnie: utopia i gardząca utopią nauka; oddziaływanie pośrednie i bezpośrednie, i więcej jeszcze. W wieku oświecenia i ubóstwienia Natury — rzekomo idącej w parze z Rozumem! — wydawać się mogło, że te wszystkie sprzeczności złączy pod jedną kopułą — Harmonia, ta bogini później zdemaskowana i zdetronizowana (na rzecz „dynamiki dziejowej“) jako przesąd deistycznego pochodzenia. Świadomi rzeczy wiedzą, że to nie są sprzeczności w znaczeniu logicznym, lecz różne metody uszczęśliwiania ludzkości wchodzące sobie wzajem w drogę na tym zbyt ciasnym świecie.

Stosunkowo mało znana jest sprawa pośredniości i bezpośredniości w funkcjonowaniu systemów wewnętrzno-politycznych. Leopold Wiese, który podczas wojny podjął się niewdzięcznego zadania obrony poszturkiwanego wówczas ze wszystkich stron liberalizmu *(Der Liberalismus in Vergangenheit und Zukunft* 1917), podkreśla jego humanistyczność, jego rachowanie się z imponderabiliami: ani egoizm jednostki, ani potęga państwa czy społeczeństwa nie powinny stać na pierwszym planie, lecz niech sobie pozornie ustępują, dopiero na drodze okrężnej dociera się do istoty rzeczy. W ten sposób usprawiedliwiałoby się Brodzińskiego: „Czyń każdy w swoim kółku, co każe duch Boży, a całość sama się złoży“, aforyzm tak podejrzany o filisterstwo, i Goethego obrona bezplanowości: mianowicie rozprawiając o Saint-Simonizmie powiedział Goethe, że jednostka powinna dbać nie o całość lecz o siebie, a gdy każdy spełni swój obowiązek, z tego dopiero powstanie szczęście całości. Jeszcze u Bergsona, zresztą przecież witalisty, gra rolę to wyobrażenie idealne: porządku przez nieporządek, gdy ironizuje porządkowanie przyrody przez rozum.

Zdaniem Wiesego skończyli się tylko liberałowie jako partia, ale nie sam liberalizm oparty na Deklaracji praw człowieka i obywatela. Ibsen mówił, że cały wiek XIX żyje okruchami tej Deklaracji, a żyd Feiler, zbadawszy ustrój i sukcesy Sowietów *(Das Experiment des Bolschewismus)*, dochodzi do wniosku: wszystko co w Rosji najlepszego zawdzięcza ona nie doktrynie bolszewickiej lecz powrotnej fali z r. 1789. Liberalizm właściwie nigdy się nie wyżył, bo nie był brany ściśle, nie łączył się z wyrównującą sprawiedliwością. Dam mały lecz naoczny przykład. Jeśli mój sąsiad za ścianą pogwizduje i przeszkadza mi w czymkolwiek, wówczas następuje kolizja dwóch wolności. Jemu wolno gwizdać, mnie wolno mieć spokój, ale ani obyczajowo ani prawnie ta sprawa nie jest ujęta, gdyż — *minima non curat praetor*. Gdyby się to nadużycie działo w nocy, mogę zatelefonować do policji, budzić jakiegoś dyżurnego, narażać się na jego zdziwienie itp. Ale w dzień sąsiadowi wolno hałasować, o ile nie wytwarza detonacyj dynamitowych; gdy go upomnę, poproszę, odpowie mi: niech pan gwiżdże także, mnie to nie przeszkadza, ja jestem liberalny. Ten przykład łatwo przetransponować na stosunki gospodarcze, gdzie wolność jednego tak często staje się odebraniem wolności drugiemu. Cóż jednak liberalizm temu winien, że np. ktoś skupiwszy chleb podrożył jego cenę; to nie jest liberalizm, jeżeli ktoś chcący jeść nie może chleba dostać, to jest kryminał i luka w prawodawstwie lub w wymiarze sprawiedliwości. Wiese mówi też słusznie: liberalizm ma pod względem praktycznym tę słabą stronę, że jest systemem dla porządnych ludzi (Wiese: *Staatssozialismus* 1916).

Liberalizm jako naczelna dyrektywa nie przestarzał się, tylko narosło na nim tyle zabobonów i kwestyj, że chyba narodzić się musi jeszcze raz. Trzeba np. dopiero skonstruować dowód, czemu topienie zapasów kawy w morzu jest zbrodnią, kto czy co jest temu winne (kapitalizm? to nie wystarczy) i wykazać długą linię winy.

SOCJALIZM SKONSUMOWAŁ LIBERALIZM

Psioczyć na liberalizm nauczył wszystkich jego główny spadkobierca: socjalizm. (Wyjątek w Polsce: ostatnim prawdziwym liberałem był Stanisław Posner). Jako marxizm odziedziczył po nim duże zaufanie do automatyzmu, mianowicie, że rozwój społeczno-dziejowy sam przez się sprowadzi socjalizm („czas pracuje dla nas“). To jest znane, ale ważniejsze jest inne założenie oparte na automatyzmie: że zmiana ustroju gospodarczego na socjalistyczny zmieni naturę ludzką, uczyni człowieka przymusowo dobrym. Więc nie droga bezpośrednia lecz okrężna — a przez to właściwie psychotechniczna, o ile by przebieg tych zmian był obmyślony.

Jak wiadomo socjalizm przedwojenny wskutek tej wiary w automatyczne konieczności dziejowe oddawał się złudzeniom fatalizmu i miał złe sumienie teoretyczne co do reform socjalnych (aforyzm „im gorzej, tym lepiej“, to jest tym bliżej katastrofy kapitalizmu). Wiara w automatyzm zjadła wiarę w reformy. Na losach socjalizmu przedwojennego dużo jeszcze zaważył ujemny i małoduszny stosunek Marxa do utopii, potwierdzony później przez Sorela. Marx był socjologiem, ekonomistą i filozofem, silnym w analizie krytycznej, nie poetą. Engels zdemaskował utopie jako pomiot burżuazyjny. Ogół socjalistyczny, który chciał się entuzjazmować, musiał się zadowolić płomiennymi obrazami przyszłości skreślonymi przez Bebla w dziele *Kobieta a socjalizm* i czytywał utopistów francuskich i Bellamyego. U socjalistów uczonych w piśmie należało jednak do szyku gardzić utopiami — pomimo słów Wildea, że zła jest mapa świata, na której nie ma kraju Utopii. Był to swoisty ascetyzm, wstrzemięźliwość, poza ściśle naukowa była bardzo modna. Kiedy w r. 1893 w parlamencie berlińskim inne partie wezwały socjalną demokrację, aby podała bliższy obraz przyszłego społeczeństwa socjalistycznego, odpowiedzieli z wyższością: to nie jest tak jak z planem domu, tego nie można wynaleźć; dla sprawy postępu jest już dość, jeżeli się udało rozpoznać tendencje, które prowadzą do tego społeczeństwa, tak żebyśmy działali świadomie a nie instynktowo. A Bernstein, choć krytykował Marxa, mówił: cel jest niczym, droga wszystkim. Cel — niczym! Choć w wieku XVIII Lessing, ten niemiecki Wolter, też cenił przede wszystkim drogę, jednak w *Natanie mędrcu*, interpretując w sławny sposób sławną bajkę o trzech pierścieniach, nie uchylił się od określenia celów: ten z braci będzie miał prawdziwy pierścień, kto przy jego pomocy roztaczać będzie szczęście.

WYŁOM KU UTOPII

Dopiero kiedy wojna światowa w praktyce ukazała utopię wsteczną, namiętności utopistyczne nagle przerwały tamy przesądów nauki i rozlały się zwłaszcza po Niemczech i Francji. Jeżeli można tak gigantycznie robić wojnę, to czemuż by nie robić na taką samą skalę czegoś innego? Podczas wojny jedno pismo szwajcarskie, obliczając jej koszty, wyliczyło zarazem kilkanaście prac herkulesowych dzisiejszego typu, których by można tym nakładem dokonać. Były tam wyprawy do biegunów, przekopy, nawodnienia i osuszenia, wiercenia, niemal do środka ziemi. Gdy bestie zwyciężone i zwycięskie wreszcie legły ciężko dysząc, rozległ się cienki i radosny śpiew pacyfistyczny, dzieci weszły na pobojowisko, brały się za ręce, przyrzekały: my już nigdy, my zmienimy świat, zatknęły sztandarek niepokalanej nadziei. Nastały zielone czasy ekspresjonizmu, futuryzmu, aktywizmu. Inżynier Taut wydał album rysunków czy planów, w których poprawiał, przerabiał Monte Rosa, Matterhorn, w końcu całą kulę ziemską, a jeszcze potem i gwiazdy *(Alpine Architektur)*. Aktywiści uznali, że skoro tak, to znaczy: skoro wojna, to w ogóle nie ma już ani przeszkód, ani skrupułów, ani wstydzić się żadnych marzeń nie trzeba. Cały świat, który dotychczas rządził, już się ośmieszył, teraz kolej na nas. Nie ma nic śmiesznego, nic niemożliwego. Najwybitniejszy z aktywistów, Kurt Hiller, na przekór Bernsteinistom wydawał *Zielbücher*, Księgi Celu. Jak w wieku Oświecenia ideałem stał się rozum, teraz zwany duchem, na miejsce wszystkich dawnych kracyj wstąpiła jako jedyna: logokracja i logokraci. Hiller mówił wyraźnie: naszym celem jest ni mniej ni więcej jak raj na ziemi. Mówił wprawdzie nie o psychotechnice lecz już o psychagogii, która później ziściła się — jako führerstwo.

Tej eksplozji umysłów w sferę utopizmu towarzyszyły, i poniekąd utwierdzały ją, współczesne rewolucje polityczne: niemiecka, węgierska a przede wszystkim rosyjska. Ta ostatnia szczególnie była kotłem, który przez długi czas ogrzewał za darmo swych sąsiadów, bliższych i dalszych, dawał miarę, groził że a nuż się uda, nie dawał problematom zastygnąć, lecz wciąż je rozpryskiwał w znaki zapytania.

Ale wyjałowienie socjalizmu z elementu utopistycznego zemściło się na pierwszych poczynaniach bolszewików. Ich wyprawa do Rosji w zaplombowanym wagonie była na razie raczej wyprawą wikingów nowego typu niż apostołów nowego światła. Zbrojni w arkana utrzymywania się przy władzy politycznej, nie mieli planów realizacji ideałów socjalistycznych i z początku popełniali niedorzeczności. Brutzkus, profesor ekonomii, emigrant z Rosji, w wydanej w Berlinie książce *Czy Rosja realizuje marxizm?* opowiada różne rzeczy o tej bezradności, np. że mieli przez jeden dzień zamiar puszczenia w obieg „pieniędzy pracy“. Zygzaków było sporo — o czym powszechnie wiadomo. „Świat“ czy tylko Zachód rozczarowywał się do socjalizmu, tak jak „rozczarowywał się“ do Polski. „Zachód“ żądał cudów, sensacji, ziszczania jakichś ideałów, których sam nie ziścił, a gdy go nie widział, nudził się.

DYKTATURYZM

Natomiast inny motyw wprowadziła rewolucja rosyjska na scenę dziejów: dyktaturyzm, jedyną konkretną wskazówkę marxizmu co do przyszłości. Miała to być wprawdzie dyktatura proletariatu, ale genetivus skurczył się przy nominativie, metaforę wzięto dosłownie. Rewolucja wymagała energicznej, brutalnej psychotechniki, szybkiej decyzji i szybkich wykonań, więc — przywołano wilka z lasu. Oto są skutki wielkiego rozmachu dziejowego: krzyczeć może wielu, machać niewielu. To też wnet powiedziano sobie i w innych krajach: jeżeli urządzać, to my, ale nie nas! (faszyzm). I wszyscy się zdziwili, że rządy mogą rozwijać taką siłę, nawet one same się zdziwiły, choć nie przestraszyły. Po cichu zaś uznały to nawet partie opozycyjne: do koncypowania i wykonywania zadań wielkoskalistych a skomplikowanych, takich jak „montowanie“ nowego ustroju — bo nowego ustroju wszystkim się zachciało od jutra — trzeba, jak do maszyny, jak najmniej głów ale za to dobrych, więc elity i dyktatora; jak parlament nie może prowadzić wojny — a wojnę miano jeszcze w pamięci — tak i ustroju nie zrobi ani parlament ani nawet wola ludu, zaś w automatyczny rozwój tej sprawy, w jakiś boski „Geduldspiel“ [1] polityczny już wierzyć przestano.

Skutki psychotechnicznego rozmachu dziejów były jeszcze inne: naturalne zmniejszenie wartości człowieka jako indywidualności odrębnej, choć nie jako jednostki. Skoro ma się z tej masy ludzkiej coś zbudować, to najlepiej żeby materiał był jednolity, plastyczny, łatwy do manipulacji psychotechnicznej, więc rozkruszyć tę masę na piasek, skoszarować, mieć w ewidencji itd. Między nominativem a genetivem odbyły się dziwaczne osmozy. Dyktatura nie tylko reprezentuje wolę ludu, ale i urabia ją, tak jakby tej woli jeszcze nie było lub jakby tą możnością urabiania mierzyła się i legitymowała sama dyktatura.

ZMIERZCH „WOLI LUDU“

Zagadnienie woli ludu porusza Wacław Makowski w ciekawej rozprawie *Reklama polityczna a t. zw. wola społeczna* (Warszawa 1932). Wiąże się ona bezpośrednio z naszym tematem, gdyż właśnie reklama polityczna, urabiająca wolę ludu, czyli agitacja — obok oczywiście terroru — jest dziś głównym narzędziem psychotechnicznym. Dzięki reklamie podaż haseł na targowisku politycznym wywołuje popyt — Makowski pokazuje ten mechanizm. Państwo powinno tedy „zapewnić sobie należne miejsce w procesach emocjonalnych społeczności“ czyli zapewnić sobie środki reklamy. Wolę ludu dopuszcza Makowski tylko jako „zbiorową aprobatę indywidualnej inicjatywy“ a więc aprobatę *ex post*, gdy Kolumb już postawi jajko, — ale nie gdy ta wola ludu jest antycypowana, gdy „rola obwoływacza“ pewnej potrzeby czy formuły „łączy się z rolą przedstawiciela suponowanej „woli zbiorowej“ w tym samym zakresie“, wtedy bowiem powstaje błędne koło: teza, którą się ma ludowi dopiero zaszczepić, już niby istnieje jako wyraz jego woli, czyli że środek narzuci celowi swoje warunki.

Tak argumentuje Makowski, zwalczając instvtucję trybunów ludu na rzecz państwa.

Zdaje mi się jednak, że stosunek między obwoływaniem a wywoływaniem potrzeby czy formuły jest intymniejszy, owa antycypacja jest porywaniem za czub, odgadywaniem, budzeniem woli ludu, o ile wogóle ta wola nie ma pozostać czymś biernym, o ile godzimy się na parlamentaryzm. Formy społeczne mają w sobie często coś z błędnego koła, coś z przesady i antycypacji, np. państwo, małżeństwo. Makowski uważa „dobro społeczne“ za coś innego niż „wolę społeczną“, lecz Kelsen *(Zagadnienie parlamentaryzmu*, przekład Warszawa 1929) i „dobro społeczne“ i „interes państwowy“ odsyła do lamusa frazesów.

Socjalizm komunistyczny stanąwszy przed tym, co dotychczas było ukryte za górą, odrzucił parlamentaryzm, a po cichu także „wolę ludu“. Kryzys pojęcia „woli ludu“ trwał zresztą już od dawna, gdy zawiodły różne sposoby ujęcia jej w formę, proporcjonalności, referenda, plebiscyty, gdy z drugiej stro-

[1] *Geduldspiel*, gra cierpliwościowa, polega na tym, że na jakiejś płaszczyźnie, pod szkłem, jest mnóstwo zawikłanych rowków i kilka kulek, które trzeba umieścić w pewnym oznaczonym miejscu; przez różnorakie przechylanie instrumentu popędza się kulki rowkami, każdy mylny ruch niszczy osiągnięte już rezultaty.

SIELSKI OBRAZEK

Wstaje ranek letni
Trzykrotnym pianiem w kurnikach.
Na nieskładnej fletni
Pod oknem pastuch ulika.

Po wybojach drogi
Rączy zagończyk się ciska.
Czeszą krowie rogi.
W ręku bat pęka i śwista.

Z opłotków przełazem
Nadąża trzoda leniwa.
Z nią sielski obrazek
Jak ranek mgłą się pokrywa.

STEFAN GOŁĘBIOWSKI

Za to echem doniosłym rozeszła się po świecie wieść o Alkazarze. Tragedią młodzieży hiszpańskiej jest to, że ginie w walkach bratobójczych. Ale w bohaterstwie jest zawsze piękno doskonałe. I dlatego Alkazar już dziś jest — legendą.

*

Tydzień za tygodniem mija, a prawdopodobieństwo dojścia do skutku narad „locarneńskich“ zdaje się coraz mniejsze, mimo iż p. Eden w swej mowie genewskiej podkreślił z naciskiem znaczenie, jakie rząd angielski przywiązuje do tej konferencji. Nie przyczyniła się bynajmniej do wyjaśnienia sytuacji „sprawa abisyńska“. Jeśli już nawet tak zrównoważony *Le Temps* wyszedł z cierpliwości i przypomina Genewie, że nie jest jej zadaniem gromadzenie trudności, lecz przeciwnie, ich usuwanie (tak by się wydawało), to znaczy, że nastroje nie są zbyt optymistyczne. Podobno, podróż króla Edwarda i Sir Samuela Hoare wzdłuż Morza Śródziemnego nasunęły Mussoliniemu dość niemiłe myśli na temat prób utworzenia antywłoskiego bloku państw śródziemnomorskich. Jako datę przyszłej konferencji „locarneńskiej“ wyznaczono dzień 19 października. Czy Anglia dotrzyma terminu?

*

Im dalej na wschód, tym bardziej tajemnicze kształty przybierają wydarzenia. Gubimy się w domysłach na temat przyczyn dymisji p. Jagody ze stanowiska komisarza ludowego spraw wewnętrznych. Niepokoją nas wybuchające raz po raz zatargi chińsko-japońskie. A tymczasem, jak słychać, marszałek Czang-Kaj-Czek prowadzi w jak najlepszej zgodzie rokowania z państwem Wschodzącego Słońca, a protesty i manifestacje to nader sprytnie pomyślana akcja zamaskowania (podobno) serdecznej przyjaźni.

*

Na Zachodzie zaś mówi się jasno i bez obsłonek. Tak jak dr Schacht: „Cóż nas obchodzą wasze dewaluacje i stabilizacje? Chcecie z nami współpracować? Skreślcie długi, których i tak nie płacimy, i dajcie nam kolonie, gdyż bez surowców nie damy sobie rady“. Proste i — trudne do wykonania. W każdym razie przyszła wielka konferencja gospodarcza (jeśli się odbędzie) nie pójdzie tak gładko jak „porozumienie trzech“, nad którym właśnie debatują w Genewie.

*

A potem wszyscy się rozjadą i przez czas pewien cicho będzie o Lidze. Pójdziemy do Teatru Polskiego na *Klub Pickwicka*. Jest tam pewien stajenny, który, choć nigdy w Genewie nie bywał, posiada zalety przebiegłego dyplomaty i wybornie się wywiązuje z poruczonych mu misyj. Tylko że skoro już powie to, co miał powiedzieć, natychmiast zasypia.

JUNIUS

POWRÓT

Zadzwonił letni dzień kosą
Na znak, że z pola wracamy.
Łagodny zmierzch ziemię rosą,
Niebo pokropił gwiazdami.

Okryci płaszczem wieczoru
Mijamy: żabie nagrania,
Melodie ptasich nieszporów
I polnych świerszczy ksykania.

I w jedną idziemy stronę —
Prosto do wiejskiej zagrody.
Niesiemy dłonie splecione
I serca urodzaj młody.

STEFAN GOŁĘBIOWSKI

---

ny sposoby jej fałszowania mnożyły się w nieskończoność, gdy żądanie czystości wyborów okazało się dziwną *petitio principii*, bo gdyby wybory mogły być czyste, to wszystko byłoby tak dobrze, że już by ich w ogóle nie było potrzeba. Szczególne rozczarowania pod tym względem miała socjalna demokracja, zmuszona przyznać, że prawdziwe zasady parlamentaryzmu w tych warunkach mogą być tylko dwie: „Nikt wbrew swej woli nie może być zbawiony" (kwestia: czy nie powinien) i „Jak sobie pościelesz (ludu), tak się wyśpisz". Zresztą socjalni demokraci tyle razy urabiali sami wolę ludu, że wiedzą, jakie to jest ciasto. Statycznie wola ludu nie istnieje, ale dynamicznie, funkcjonalnie istnieje, bo jednak pewnych rzeczy wmówić ludziom nie można, i o przesuwalność tej granicy wrą walki.

Makowski potrąca na jednym miejscu o rolę podświadomości (i „behaviouryzmu") w sprawach reklamy politycznej. Faktycznie rozpowszechniająca się coraz bardziej psychologia podświadomości mogła tylko osłabić znaczenie demokracji a wielkim graczom psychotechnikom przyznać słuszność w tym, że wolę ludu organizują tylko jako aprobatę w permanencji.

ROZSUNIĘCIE GRANIC „NATURY"

Największy jednak cios zadany był tradycjom liberalizmu przez zagrożenie t. zw. natury a popieranie (znowu t. zw.) sztuczności. Już na socjalizm były skargi jako na wyrodne dziecko liberalizmu, że zadaje gwałt naturze ludzkiej, która uchyla się od pracy bez zysków lub bez przymusu, która koniecznie wymaga prywatnej własności itd. Dziś te skrupuły powiększają się jeszcze wobec ogromnego i zuchwałego zasięgu nowych planów (różne budowy i przebudowy, piatiletki, stwarzanie typów itd.).

Sztuczność jest oczywiście pojęciem względnym. Robienie ryżu z owsa byłoby fantastyką, ale wyhodowanie nowej rasy końskiej według pewnych obserwacyj jest o tyle sztucznością, że jest sztuką, opartą na naturze. Na pewnej wystawie botanicznej widziałem prawdziwe gruszki wyhodowane dla kawału na wierzbie; widziałem, nie jadłem, za pewne były niesmaczne. Nie docenia się możliwości natury. A natury ludzkiej?

K. Renner, znakomity socjalista austriacki, później kanclerz, napisał podczas wojny książkę *Marxismus, Krieg und Internationale* (1917), w której, rozpaliwszy się do nowych perspektyw socjalnych, rozprawia się z zarzutem liberałów — i jak powiada, także socjalistów starej daty, bałwochwalców natury — co do nienaturalności tych perspektyw. Przewiduje ogromne postępy techniki socjalnej i wzywa marxistów do zajmowania się nią jako przyrodzoną domeną socjalizmu. Ta technika opiera się na prawach natury, lecz wymaga świadomego czynu — uspokajał starszych kolegów. Niebawem zajęli się nią bolszewicy w praktyce. Lecz kwestia nienaturalności nie znika jeszcze wobec praktyki. Można np. wyciąć wszystkie lasy na wielkiej połaci kraju — będzie to naturalne, lecz sprowadzi katastrofy klimatyczne.

W gruncie rzeczy nie o nienaturalność w ścisłym tego słowa znaczeniu chodzi w tych obawach liberalistycznych, bo przecież i tak wszystko należy do natury i np. największa perwersja seksualna lepiej symbolizuje naturę niż normalne zaspokajanie popędu. Obawy te są nie jakościowe lecz ilościowe, znaczą po prostu tyle, że im większy jest zamiar, tym więcej musi napotkać przeszkód t. zw. irracjonalnych, czyli nieobliczalnych, po drodze od planu do wykonania. Dotyczy to zwłaszcza dziedzin, w których duch ludzki dotychczas więcej konstatował niż działał, a jeżeli działał, to tylko po omacku. Dlatego też liberalizm wolał działania na metę krótką a pewne niż działania wielkoskaliste, obejmujące wielkie okresy historii i wielkie masy ludzi, — uważał je za trochę blagierskie i „literackie". Liberalizm ma podejrzenie nie tylko co do wykonalności takich planów, ale i co do ich wartości; sądzi on, że jest do wypełnienia jeszcze tyle zadań małych, realnych a trudnych trudnością prawdy, że upajanie się perspektywami zadań ogromnych jest raczej ucieczką od ziemi w rozrzedzone powietrze, uchyleniem się, nawet pewnego rodzaju oszustwem.

Jeżeli to mówię niby w imieniu liberalizmu, to dlatego, że w swoim czasie miałem na ten temat spór, dość jednostronny, z Brzozowskim. W artykule *W kształt linii spiralnej* (przedrukowanym w zbiorku *Czyn i Słowo*) pisałem o niepotrzebnych „zmartwieniach kulturalnych", że „niech sobie historia i kultura same dadzą rady, a my róbmy sumiennie to, co ze względów merytorycznych uważamy za stosowne". Brzozowski, dotknięty bardziej inną moją aluzją co do jego irracjonalizmu, odpowiedział notatką wydrukowaną potem w jego *Pamiętniku*. Miałem jednak później tę satysfakcję, że podobną myśl znalazłem u J. Simmla w jego *Philosophische Kultur* (1911) w rozprawce *Der Begriff und die Tragödie der Kultur*. Simmel wystepuje przeciw „namiętnie scentralizowanemu akcentowaniu kultury". Właśnie czynniki rozstrzygające o kulturze mają równocześnie taką samodzielność, że „nie tylko mogą obchodzić się bez motywacji przez ideał kultury lecz nawet wprost od niej się uchylają". „Właśnie te duchy, które stwarzają trwałe treści, a więc objektywny element kultury, wzdragałyby się od czerpania pobudek i oceny swego wysiłku *bezpośrednio* od idei kultury. Ożywia ich namiętność dla rzeczy samej, ta zaś ma swoją własnoprawność, swój własny świat, a twórca pogrążając się w nim staje się sobie samemu obojętnym i jako podmiot znika"... Czyli że Simmel wolał budowanie kultury niejako od dołu, pośrednio, niż od góry, bezpośrednio... liberał...

Faktycznie zapanował sposób myślenia Brzozowskiego: projekty kulturalne w wielkim formacie. Już nie utopie, mity, legendy — lecz plany, planizm. Pięciolatki. Belgijski plan de Mana. Obok tego zaś pierwsze kroki technokracji, która od kwestii maszyn przechodzi do kwestii najważniejszej maszyny: człowieka, i żąda abdykacji kapitalistów na rzecz technokratów. Plany dotyczą nie tylko świata fizyki: nawodnić Saharę, osuszyć Morze Śródziemne, zmienić kierunek Golfstromu, dotyczą także duszy jako terenu najpodatniejszego i najtańszego. Zawsze ją obrabiano, zwłaszcza poprzez ciało (głód, tortura), ale to była fuszerka, dzicy walili pałkami po wspaniałym fortepianie; teraz są tacy, którzy chcą się brać do niej ze znajomością rzeczy, fachowo, po mistrzowsku.

Dla prawdziwego planisty problem: natura — sztuczność, nie istnieje.

W Polsce odnośna literatura: Tytus Filipowicz: *Czy Polsce jest potrzebna gospodarka planowa?*, Artur Hausner: *Przezwyciężenie kryzysu*, Wiktor Alter: *Gdy socjaliści dojdą do władzy*, — dzieła te dotyczą głównie strony gospodarczej zagadnienia. Teoretyczna strona bywa omawiana dorywczo w różnych broszurach i artykułach. Większe prace poświęcił jej Tadeusz Dzieduszycki. Ostatnia jego rzecz: *Pilsudskianum* proponuje utworzyć pod tą nazwą Radę Główną Badań (gospodarczych, społecznych, kulturalnych), której organizacja oparłaby się na wzorach wojskowych. Książka zawiera różne opinie o potrzebie takiej Rady; zastrzeżenia przeciw zbytniemu forsowaniu idei planizmu wypowiedzieli tam Witold Krzyżanowski i prof. Florian Znaniecki. Rzecz o „Pilsudskianum" powstała w związku z kongresem socjologicznym, odbytym w r. ub. w Warszawie. Głównym tematem kongresu był właśnie planizm.

FILOZOFIA PLANIZMU

Planizm doczekał się swego filozofa w osobie Karola Mannheima, profesora socjologii w Berlinie, dziś emigranta politycznego. Już w swoim dziele *Ideologie und Utopie* (1929) Mannheim, marxista nie uznawany przez socjalistów, próbuje naukowo dowieść, że ster rządów świata po proletariacie mają objąć intelektualiści, właśnie jako nie przynależni do żadnej klasy. W świeżo wydanej książce *Mensch und Gesellschaft im Zeitalter des Umbaus* (1935), pisanej tak jak poprzednia bardzo trudną, po części własną terminologią, podaje zręby teorii planizmu. Unika zastosowań, więc nie można się dowiedzieć, czy jest np. komunistą czy faszystą, ale pod rusztowaniem abstrakcyj wyczuwa się żywotne problemy. Stawia tezę, że „nasz obecny ustrój społeczny musi upaść, jeżeli racjonalne opanowanie ludzi i opanowanie samego siebie nie dotrzyma kroku rozwojowi technicznemu". Żąda, by studiowano pilniej „rozmiary przemienialności człowieka". Wskutek postępów racjonalizacji „wgląd społeczny z powodów niejako rzeczowych koncentruje się coraz bardziej w głowach niewielu polityków, kapitanów gospodarki, techników administracyjnych i specjalistów od prawa". Czyli: żeby urządzać, trzeba się na tym znać! Oni mają w ręku „pozycje kluczowe" w społeczeństwie, a jest tych ludzi coraz mniej. — Przypomina mi to najszczersze wyznanie Witkiewicza w *Linii*, że jakże inteligent może się przyłączyć dzisiaj do tej lub owej partii, kiedy tu trzeba się znać dobrze na ekonomii, a on się na tym nie zna, bo nawet nie ma wglądu w aparat ekonomiczny. Podzielam ten skrupuł zupełnie. — Potem, ustanowiwszy potrzebę planizmu jako regulowania historii, zadaje najdrażliwsze pytanie: a kto będzie planował tych, którzy mają planować? Uznaje konieczność elit, ale dyktaturę uważa tylko za jedną z katastrof liberalizmu — wyjąwszy pewne momenty. Ważne jest, by planować także krytykę, ale nie według metod liberalizmu. „Planizm nie jest gwałceniem żywych układów, ani dyktatoryczną namiastką twórczego życia, ani kuracją symptomów, jeno świadomym uchwytem właściwych przekładni, opartym na znajomości całego socjalnego mechanizmu". Bardzo ważne są rozdziały poświęcone „integracjom", „planowaniu totalitarnemu", gdzie się rozważa możność objęcia racjonalizacją nie ruszanych dotychczas zakresów irracjonalności.

Są tu więc ustępy o „principia media" czyli o codziennych, nawykniętych „horyzontach oczekiwania", — ten główny składnik życia człowieka jest w naszych czasach chwiejniejszy niż dawniej, człowiek coraz to się „przeucza" i „nastawia", lub bywa nastawiany. Dalej są ustępy np. o „miejscach wymknięcia się" w życiu społecznym, o „wolnych polach socjalnych" — całą własną nomenklaturę buduje Mannheim — lecz... Stalin by się uśmiał. Mannheim ceni doświadczenia i intuicję dziennikarzy i polityków, ale doświadczenie praktyków, wygów, jest inne niż takiego uczonego, który ma swoiste znawstwo życia i widzi zależności („interdependencje"), o jakich się praktykom nie śniło. Jest genialny w przewidywaniu dziur; odrazu zatyka je kołkiem nazwy. Bo „człowiek nauki" chciałby wszystkich zasadzić do książki, zrobić z polityki wielkie seminarium. Mannheim zdaje się tak mówić: Kochani panowie działacze, urządzacze społeczeństw, to nie tak łatwo jak się wam zdaje. Trzeba mieć odkrywczą wyobraźnię, trzeba widzieć niewidzialne a rozstrzygające subtelności, trzeba być wciąż twórczym. Sama możność przesuwania klocków z miejsca na miejsce nie wystarczy. Czy wiecie co to są „principia media"? Aha! A to są przecież „pozycje kluczowe", punkty, gdzie życie jednostki styka się z życiem społeczeństwa, to jest to, co by należało opanować. Mówicie jednak, że macie filozofię gdzieś? Oh wcale nie! Mogę wam udowodnić, że posługujecie się wciąż strzępami różnych filozofij, nie wiedząc o tym, a nie odświeżając swoich zapasów intelektualnych, fuszerujecie na grandę.

Czy więc wszystko ma być planowane? Mannheim przewiduje enklawy, rezerwaty („Innenräume"), dla wolnej gry sił. Np. koncern może być tak zorganizowany, że w obrębie pewnych granic poszczególne filie mogą z sobą konkurować, a jednak są zintegrowane. Ruch „doppo lavoro" (organizowanie pożyteczne wolnego czasu) w faszyzmie jest taką enklawą, nawet sposobną dla procesów selekcji, a zarazem dla celów dywersyjnych: odciąga od polityki. Niekiedy spotyka się Mannheim z ludźmi z czasów Machiavellego, np. gdy rozważając szanse dojścia do skutku planistycznej polityki, powiada, że „na przedostatnim stopniu globowej integracji mogłaby zajść konieczność skonstruowania zewnętrznego nieprzyjaciela np. mieszkańców Marsa, aby się walczące na Ziemi strony pogodziły".

W ogóle planizm w oczach Mannheima nie ma być systemem lecz strategią, której by chciał jednak odebrać wszelki dogmatyzm, aby jej zostawić jak najwięcej tego, co również tkwi w pojęciu planowania: „elementu poszukiwania". Wśród działania należy sobie zawsze uświadamiać, że „planujące myślenie jeszcze przez długi czas orientować się będzie po omacku". I planista sam musi się nauczyć — „przebudowywać własne myślenie".

W książce Mannheima, może to tylko moje złudzenie, zamigoce czasem jakby drugie dno: chęć doprowadzenia do absurdu planizmu — ale praktycznego. Jeżeli tyle jest zakamarków życia społecznego i jego anatom i fizjolog przeczuwa jeszcze dalsze, jak można się porywać na działanie w ogóle? Kurtyna poszła w górę, klawiatura się odsłoniła, lecz mistrza nie ma. Wszystkich trzeba by na kilka lat posłać do mannheimowskiej szkoły, — ba, wpierw założyć ją, kosztem — Ligi Narodów? Stalina? Mussoliniego?

Nigdy jeszcze tak blisko uczony nie stanął z praktykiem oko w oko. Snadź to, co się dzieje, prowokuje właśnie uczonego. Niektóre zdania zresztą, zwłaszcza te o konieczności uświadamiania się, żywo przypominają Brzozowskiego, tylko Mannheim jest konkretniejszy.

Poprzednia epoka była epoką witalizmu, epoką zasady „życia". Simmel stwierdzał ją jeszcze w r. 1918 (*Der Konflikt der modernen Kultur*), a jednak zgasła już z wojną, która rozpętała żywioł organizacyjny, o którym można powiedzieć odwrotnie niż w *Hamlecie:* w tej metodzie, w tym metodyzmie jest szaleństwo. Nowa epoka jest epoką komplikacji i planizmu. Można się jednak pocieszyć — lub martwić — że to na razie jest szyld wystawowy, raczej *temat wierzeń* epoki niż *treść zdarzeń*. Niebezpieczeństwo — czy ratunek? — konsekwentnego mannheimizmu jest jeszcze bardzo dalekie. Ludzie potrzebują upajać się wielkimi hasłami. Gorzej, że chcą się bić o nie — i unieszczęśliwiają się wzajemnie z powodu różnych formułek drogi do szczęścia. Przypowieść lessingowska z pierścieniami powtarza się na wyższym stopniu spirali dziejowej.

*

Sprostowanie: W poprzednim artykule *Prymat psychotechniki* (nr. 155 *Pionu*, str. 2 szp. 2 w. 4 i 5 od dołu) ma być: Nietzsche... (swego nadczłowieka) nie uważał ani za... tylko po prostu za ideał, za zmorę (nie: umowę), którą „zawiesza" nad sumieniem ludzkości.

BOHDAN KORZENIEWSKI:

POCHWAŁA TEATRU BOGUSŁAWSKIEGO*

Kiedy dnia 18 grudnia 1809 roku wracające z Krakowa pułki polskie ukazały się u wylotu Nowego Świata pod bramą tryumfalną, orkiestra gwardii zagrała im na powitanie pieśń, której mało kto nie znał wówczas w Warszawie. Mogłaby ją była zaśpiewać każda z przedstawicielek tej „płci pięknej", która „z licem jaśniejszym od radości" zajęła wszystkie ganki i okna na Krakowskim Przedmieściu i na Nowym Świecie. Jeśli jednak pieśń nie przeleciała po tych oknach i gankach aż do Zamku, to przyczyną było onieśmielenie, a nie brak entuzjazmu dla jej słów. Mówiło się w niej przecież tak stosownie do okoliczności, że nie można by trafniej i lepiej. Pierwsze zdanie wołało jakby głosem długotrwałej tęsknoty: „Powracajcie, cni rycerze, do spokojnych chat zagrody"... Potem zaś było zupełnie tak jak w tamtej chwili: wszyscy wybiegli naprzeciw, aby wojowników utrudzonych w „srogim Marsa polu" „wdzięcznie do serc przyciskać"; małżonki „ozdabiały ich mężne skronie wieńcem sławy", kochanki „bojaźliwie" skarżyły się z głową spuszczoną na noce nieprzespane z trwogi o ich życie. Pieśń, choć dzisiaj uśmiechamy się z jej „srogiego Marsa" i z jej „wieńców sławy", wyrażała uczucia zbiorowe szczerze i porywająco. Chciałoby się wierzyć, że powstała tak, jak powstają pieśni w czasach wielkich wydarzeń — zdala od wysokich pokojów oficjalnych literatury, wśród rozgorączkowanych ludzi, z ich zbiorowego uniesienia; że wyrosła z tłumu jak człowiek, który wspiął się na ramiona stojących obok i wypowiada donośnym słowem to, co niżej przepływa w pomroku i w zgiełku...

Ale byłaby to tym razem wiara ułudna — ta pieśń wyszła na ulicę z teatru. Śpiewał ją tam, wśród „skał dzikich i poszarpanych", lud dobrych Inkasów na powitanie króla, który rozgromiwszy najeźdźcę za kulisami, powracał w tryumfie na scenę. Czterech murzynów dźwigało go na „nosidłach z gałęzi palmowych", przybranego wspaniale w purpurową szatę z wizerunkiem słońca na piersiach; przed nim dziesięciu wojowników o tatuowanych ramionach i nogach niosło zdobyte na Hiszpanach trofea: „chorągwie, kaszkiety i pałasze"; za nim szło, spuściwszy w zawstydzeniu głowy, sześciu jeńców w kajdanach... Na ten wspaniały widok lud pochylał się w ukłonie, przykładał lewe ręce do piersi, całował na dowód czci powietrze i śpiewał. Śpiewał właśnie to, co zagrano na powitanie wojska: o dzielnych dłoniach, które przynoszą pokój i swobodę, o dumie zwycięstwa i o trwogach niepewności.

Dzisiaj nam, którzy chodzimy do teatru jak do muzeum pamiątek przeważnie osobliwych, wydaje się prawie nie do wiary, aby z tej „skalistej okolicy" pieśń tryumfalna Peruwianów mogła jednym skokiem znaleźć się wśród tłumu na ulicach Warszawy. Miała przecież do przebycia drogę dalszą niż z tamtych krajów i czasów — drogę z innego wymiaru. Że przeszła ją tak łatwo, to sprawa szczególnej władzy ówczesnego teatru, który — jak żaden już po nim teatr w Polsce — umiał przybliżać fikcję do rzeczywistości. Że król Abba Kabak Inka ze złotą obręczą na włosach upiętych w wysoki kok to obrońca sprawy narodowej i że jego wojownicy uzbrojeni w łuki to zastęp „rycerzów wolności" —

* Wygłoszona dn. 27 września w teatrze Narodowym na akademii ku czci Bogusławskiego.



Wojciech Bogusławski jako Nałęcz w *Ludgardzie* L. Kropińskiego

widz przed kilku laty, w „pruskiej“ Warszawie, dorozumiewał się w pół słowa. Przez teatr bowiem szły wszystkie aktualne wydarzenia, tylko uszlachetnione i wyolbrzymione sztuką. Teraz nie szły już, ale kotłowały się jak wiosenna burza.

Przecież zaledwie w trzy dni potem teatr daje dla żołnierzy i co znakomitszych obywateli „Rzym oswobodzony czyli powrót wojowników“ wielmożnego Wężyka, b. sędziego trybunału 1-szej instancji. Przez scenę idzie wojsko rzymskie i zwycięski wódz ukazuje się na rydwanie, ciągnionym przez pojmanych nieprzyjaciół. Lud zgromadzony z obu stron, pod kolumnami, wita go okrzykami radości, senatorowie powiewają gałęziami wawrzynu, a publiczność wybucha taką wrzawą i oklaskami, że chwieją się płomienne świece w pająku. I wtedy spływa na scenę w malowanym obłoku sława, bogini „wyniosłej postaci“. Pani Ledóchowska, wielka aktorka tragiczna, ma hełm na głowie, miecz w jednym ręku i wieniec laurowy w drugim. Zleciawszy tak z Olimpu wznosi miecz i powiada:

„Słuchajcie, jam jest Sława, która dziwy głoszę
I ludzi z ziemskich stworzeń do bogów wynoszę“...

Ale mało kto słucha. Damy wychyliwszy się z lóż rzucają wieńce na parter, zapełniony wojskowymi... Fikcja i rzeczywistość ulegają takiemu przemieszaniu, że nic już ich rozdzielić nie zdoła; najmniej ten czas, po którym sobie ludzie tyle obiecują, a który sprawia, że w niewielu latach wszystko się staje jednakowo nierzeczywiste.

Tak jest ciągle podczas tej epopei napoleońskiej. Na scenie wyrastają okopy, gdy zacznie się je sypać na Pradze; orzeł biały wylatuje spod sceny i wśród wiwatów wzbija się majestatycznie — ciągnięty na drucie; geniusze wieńczą żołnierzy spoczywających na zdobytych trofeach; nawet sławnych trzynaście palm, wymalowanych „uczonym pędzlem“ pana Smuglewicza dla *Fletu czarnoksięskiego*, przybiera się w... portrety królów polskich, aby przypominać sławę narodu „niegdyś wielkiego“. — Teatr staje otwarty na przestrzał dla spraw zbiorowego życia, bierze je na pomost swojej sceny, obdarza donośnością słowa i wielkością gestu. Jeśli można o jakimś teatrze powiedzieć, że był istotnie, jak być powinien, sztuką społeczną, sztuką mas — to właśnie o nim.

Ten charakter nie został mu narzucony dopiero teraz i wbrew woli przez silniejsze odeń okoliczności — jest to jego charakter narodowy. Teatr ten nigdy inaczej nie pojmował swego zadania niż jako edukacji narodu, potem walki, potem opieki nad społeczeństwem pobitym. Bogusławski pod koniec życia, kiedy jak wszyscy musiał basować potężnym pseudoklasykom, powie, iż: „nigdy nie wychodziła (mu) z serca ...chęć zaprowadzenia polskiej sceny do klasycznych, dziejowych, nieśmiertelnych twórców scenicznej doskonałości, jakimi po wiekach byli Corneille, Racine, Crébillon i Voltaire“. Ale sposobność do wielbienia z garstką „dobrze wychowanego towarzystwa“ owego „nieśmiertelnego“ Crébillona trafiała się nadzwyczaj rzadko. Odsunął ją teatr od siebie właściwie już z chwilą, kiedy wmieszał się do walki politycznej w czasach wielkiego sejmu, wyśmiewając starostów Gadulskich, ubierając szlachtę w kostiumy mieszczan i wprowadzając orszaki „poczciwych“ chłopków, tymczasem tylko z wieńcami, bez kos osadzonych na sztorc. Tylko że wówczas miał jeszcze za sobą króla, rząd, partię, ruszał do ataku z dobrze osłoniętymi bokami. Znacznie więcej tego pięknego zuchwalstwa, które ludziom i instytucjom zdobywa szacunek publiczny, wykaże dając *Henryka VI na łowach*, pióra Bogusławskiego. Odzywa się już tutaj w twardych słowach strażnika lasów królewskich ta sama wzgarda dla szubrawców szlachetnego rodu, która tak gwałtownie przemawia współcześnie we Francji — jest właśnie rok 1792. *Krakowiacy i Górale* dokonają reszty — teatr, osadzony mocno w życiu społeczeństwa, świadomy jego nadziei, rozpaczy, gniewów, będzie przygotowany do objęcia znacznie jeszcze wyższego stanowiska.

Utrata niepodległości da mu tak wysokie, że daremnie by szukać podobnego przykładu gdzie indziej. Już wkrótce potem dostrzegł któryś z ludzi umiejących patrzeć bystro na życie, że z upadkiem państwa kierownictwo spraw publicznych przeszło w ręce dwóch instytucyj: teatru Narodowego i Towarzystwa Przyjaciół Nauk. „Przyjaciele nauk“ zbierają się „dla zachowania dziejów i mowy narodowej“. Na udział teatru przypada więcej: prócz tej „misji“, musi wziąć na siebie nawał idei, dążności, uczuć, często skłóconych ze sobą i sprzecznych, bo są to czasy radykalnych zmian w społeczeństwie. Stając się nieoficjalnym sejmem, teatr Bogusławskiego chce być sejmem nowego porządku — reprezentantem „całej powszechności“.

Diderot, którego jasna, zuchwała i odkrywcza myśl wskazuje drogę Bogusławskiemu, byłby uśmiechnął się trochę z dumą i trochę z goryczą, gdyby mógł zobaczyć ten teatr. Wołał o nową sztukę dla nowych czasów. „Cóż mnie obchodzą — powiadał — sprawy, które dokonały się przed dwoma tysiącami lat; pokazujcie nam to, co żywe, ważne i palące dzisiaj“. Tutaj ujrzałby realizację swych marzeń — ale jakże od nich różną. Wprawdzie co rusz płaczą na scenie opuszczone kochanki, okrutni ojcowie wygrażają córkom klęczącym z wzniesionymi ku niebu rękami, szlachetni bankierzy poświęcają majątki dla występnych przyjaciół — tak właśnie, jak tego chciał. Ale jeszcze częściej w ruinach wśród puszczy czatują rozbójnicy, uciśnione niewinności w białych szatach i z rozpuszczonymi włosami jęczą w ciemnych lochach, rycerze w czarnych zbrojach klęczą na piersiach powalonych wrogów, ba ukazuje się wspaniały słoń, dźwigający tron na grzbiecie i reżyser rozkazuje rozstąpić się tłumom, aby zrobić miejsce „dla tej wielkiej teatralnej bestii“. O tym już Diderot nie myślał. Nie mógł bowiem przewidzieć, że ten nowy, rewolucyjny, bliski życiu teatr zapełni nie wyłącznie „oświecone“ mieszczaństwo, ale przede wszystkim „lud“. Ten, który zacznie chodzić chętnie i tłumnie do teatru Bogusławskiego — teatru w najszerszym słowa znaczeniu „popularnego“. Bo „popularny“ znaczy wówczas nie tylko: zrozumiały i dostępny dla wszystkich. Znaczy także: wrażliwy na sprawy wspólne, podejmujący ze szczerością i dobrą wiarą idee, które obchodzą masy.

*

Kiedy po Bogusławskim przyjdą do kierowania teatrem ludzie z wysokich urzędów królestwa, ci wszyscy pisarze sądu kasacyjnego, referendarze komisji policji, cenzury i nawet generałowie żandarmerii, to głównie ta „popularność“ starego repertuaru będzie im solą w oku. Trzeba przyznać, że wychowańcy klasyków francuskich oczy mają znacznie delikatniejsze niż przeciętny widz, rozlubowany w teatralnym efekcie. Umieją dojrzeć piękno w spokoju i powadze tragedii, pożytek w ostrym śmiechu komedii. Szczerze wielbią sztukę, która należy już do innej epoki — oddzielonej od nowych czasów wielkim i krwawym wydarzeniem rewolucji francuskiej. Ale w tym ich uporze, aby zmusić nową, hałaśliwą publiczność do zadumy nad sekretami serca ludzkiego i owiać ją tchnieniem wieczności — jest nie tylko zaślepienie doktrynerów estetycznych, wzbudzające melancholię, jak wszystkie usiłowania powrotu do czasów minionych. Jest także trochę — a z czasem będzie coraz więcej — zwyczajnej przebiegłości politycznej. Po doświadczeniach *Krakowiaków*, *Henryka VI*, *Wesela Figara* wie się już dobrze, że jeśli teatr może być siłą łagodną i kojącą, to może być także potężną, groźną i niebezpieczną dla ustalonego porządku. Spędzić, jak wkrótce do tego dojdzie, chmary szpiegów na widownię — nie wystarczy; należy przede wszystkim usunąć sztukę żyjącą zbiorową namiętnością. Jest to jednak, doprawdy, ostrożność jałowa — bo wówczas teatr wyludnia się i marnieje. I wtedy Wojciech Bogusławski, już najczęściej nazywany tylko „czcigodnym“, obruszy się gwałtownie na to marnotrawstwo sprawy, której oddał życie. Przypomni, z niezwykłym u niego uniesieniem, tę prawdę, którą rozumie się dobrze tylko w okresach przełomu: że teatr nie jest przeznaczony wyłącznie dla „osób pierwszej dostojności“. „To, co zowiemy publicznością, — powie — jest zbiorem wszelakich stanów, dostojności, oświecenia i powołania ludzi; wszyscy przeto mają prawo żądania zabawy w przedstawionych sobie widowiskach...“ — Zastąpiwszy słowo „zabawa“ przez słowo „udział“, gotowiśmy — uczestnicy znowu radykalnych przeobrażeń życia — uznać, że jest to sformułowanie jednej z głównych zasad teatru.

ZOFIA WRZESZCZÓWNA:

WALKA O ZDROWIE SPOŁECZEŃSTWA W ANGLII

Gdy w XVI wieku mistrz z Czarnolasu wychwalał „szlachetne zdrowie“ jako jeden ze skarbów największych człowieka, nie przewidywał zapewne, jak wielkie postępy poczyni świadoma walka o zdrowie ze strony społeczeństwa i władz państwowych. W dobie obecnej opieka nad zdrowiem stanowi we wszystkich cywilizowanych krajach pierwszorzędne zagadnienie społeczne. Podobnie jak w innych dziedzinach, tak samo i w tym zakresie Anglia jest jednym z przodujących krajów świata.

WOJCIECH ŻUKROWSKI:

SEN DZIECKA

— Znowu nam porwało sieci — powiedział gniewnie ojciec i postawił lampę na stole. Niebieski klosz rzucał smutne cienie na twarz, dołem bił gorący blask.

— Jeszcze za wcześnie — szeptała matka — światła się kłócą.

— Psi czas, taka szarówka. — Twardo położył pięści na gazecie, poruszał wargami, czytał.

Marcin oparł czoło o szybę. Do kolacji daleko, myślał. Ale wichura! Wiatr obijał się o węgły domu, syczał w gałęziach przygiętych. powykręcanych sosen na wydmach. Półkolem podchodziła zatoka w zmętniałych stalowo-zielonych kolorach, daleko na brzeg wypełzły wielkie skorupy odwróconych łodzi. Słońca już nie było, tylko pomarańczowy lotny pył świecił pod zwałami nisko lecących chmur. Potem na lewo półkolem zapalały się światełka domów, wytyczając granice nocy. Wszędzie ludzie chronili się w kręgu lampy przed ciemnością, która podchodziła huczącymi drzewami tłuc się o szyby.

Klęczał z głową schyloną, twarz przysłonił rękami — wiatr przeszkadzał się modlić, szarpał za okiennice, próbował klamki, wciskał się niewidzialnymi szparami, aż falowały odęte firanki i migotał czerwony płomyk pod obrazem. Przymknął oczy, widział, jak ojciec przykręca lampę i dmucha, wątły niebieski płomyk chybocze się na knocie, potem zwycięska ciemność zatapia pokój. Człapanie pantofli, skrzyp łóżka i matki ciche dobranoc. Marcin jest skrępowany kołdrą jak mumia. Oddycha głęboko wsłuchany w szmery na strychu. To nie kot, myśli uspokojony i jak kamień pogrąża się w sen.

Zbudził go chrobot, miarowe skrobanie pod sufitem. Coś się do gołębnika dobiera, albo klapa się zsunęła i wiatr, ale nim nogami spróbował chłodnej jak woda podłogi — cykał szafkowy zegar — było cicho.

Ostrożnie stawiał stopy, wyciągniętymi rękami gruntował ciemność znajomą, lawirował między rozpartymi meblami, których obecność odgadywał po sobie tylko wiadomych znakach. Cichutko zadzwoniły koraliki przy lampie — stołowy, wsłuchiwał się w spokojny oddech rodziców — można dalej. Przekroczył próg i wzdrygnął się, dotknąwszy niespodzianie śliskich kafli wystygłego pieca. Schody trochę skrzypiały, ale tam nie słychać. Chwilę się zawahał...

Na strychu szparami sypał się księżyc, cedził się księżyc przez wiszące pod krokwiami stare sieci. Przeskakiwał przez beczki, uchylone kufry. Odsunął zasuwkę — bielały gołębie z głowami wtulonymi pod skrzydła, nastroszone w głębokim śnie. Kota nie było. Głaskał ciepły pulsujący puch, gruchały cicho, dreptały w miejscu i znowu zapadały w drzemkę.

Przykucnął. Pamiętał jak ojciec... i za co, za te głupie stare fotografie, na których już zblakłe twarze stapiają się z tłem, te fotografie z uchylonych kufrów, teraz do nich zagląda księżyc. O tych sprawach nie wolno mówić, jak... jak o literkach *MW* wytatuowanych na jego ręce.

Podniósł się na palce i uchylił klapę dymnika. Bił chłód przezroczystej szklanej przestrzeni, cicha zatoka i lśniące skorupy leniwych żółwi — chmur ani śladu. Blisko iglica topoli i suchy trzepot liści. Zimno — już chciał zamknąć, kiedy usłyszał głosy pod domem. Wychylił się. Nie widać — głosy wyraźne i kroki.

Kto? — myślał. Nagle przypomniał sobie sztywne rulony monet pod ubraniami w skrzyni. Ojciec czasem otwierał (kluczyk w woreczku na szyi), zapach tytoniu i starych szpargałów, grube, poplamione „żywoty świętych“, odgarniał na bok kremowe koronki babki (nie mam siostry, więc moja żona — myśli Marcin i uśmiecha się) — w rogu były pieniądze.

Wsunął się do gołębnika, wychylił głowę — było ich dwu. Oglądali drzwi. Wtedy zza węgla wyszedł trzeci, bezradnie rozkładał ręce, wskazywał na grube deski okiennic.

Aha, nie podoba wam się, uśmiechnął się Marcin. Zbliżyli głowy. Co oni wymyślą — nie czuł chłodu. Zgodnie podparli drzwi próbując zdjąć je z zawiasów. Marcin obliczał „za“ i „przeciw“. Zasuwa, sztaba, łańcuch, choćby z klucza otworzyli, nie dadzą rady, a krzyczeć, spłoszy ich i nic.

Drzwi skrzypnęły. Dwóch z nich jeszcze próbowało od dołu. Trzeci chodził gniewnie. Na kredowym piasku olbrzymi czarny cień. Zapalił papierosa i schował go w dłoni. Ten błysk wystarczył. Marcin otwierał szeroko oczy. Tamten miał ręce ojca, niebieska kotwica i litery *MW*. To... to niemożliwe. Czyżby wrócił ten, którego imienia nie wolno było wymieniać, którego fotografie wydarto z albumów?

Kto to mówił: „Twój ojciec był kapitanem na... twój ojciec nie jest prawdziwym rybakiem, choć umie zarzucać sieci, on zrobił majątek na Południowych Morzach“... To nieprawda, chciał krzyczeć, ale wszystko mówiło, że tak, że tak... Marcin jest w głębi pewny tej nowej prawdy.

Tamten popatrzył w księżyc podobny do plastra z lodu i wyciągnął ręce w stronę domu. Stał w wysokiej morskiej trawie.

Marcin mógł przysięgać — tamten powiedział: Janko... Próbował jeszcze coś pochwycić. Janko, myślał. Janina, to było imię matki. Janko, Janino, Nino, tak zaczynały się listy oblepione kolorowymi znaczkami z pieczęciami dalekich portów. Pamiętał, jak mu je ojciec z rąk wyszarpnął, a przecież on chciał tylko marki do zbioru. Po takim liście matka zawsze bladła, a ojciec miał taką zmarszczkę na czole, jakby się czemuś mocno dziwił. Pamięta, raz podczas obiadu przyszedł list. Matka wyciągnęła rękę i zaraz cofnęła. Potem patrzyła w oczy ojca ufnie i spokojnie. Podarła, podarła ten list nie czytając. Marcin pamięta oczy matki zielone jak woda nie zdradzająca przyczajonej głębi. A kiedy w godzinę po obiedzie wpadł do domu z młodą sroką, zobaczył matkę z twarzą wzburzoną. klęczącą na podłodze. Próbowała ze strzępów odczytać list zaczynający się jak tamte od słów: Janko!

Biało było od księżyca. Ci pod domem stali nieruchomo. Trzeci wsunął rękę do kieszeni i wyjął coś, co błyszczało czarno i chłodno. Twardo podszedł do drzwi i zapukał. W sennym domu stukanie huczało jak w studni.

Marcin cofnął się szybko, tamten miał browning. Przeskakiwał przez belki, biegł na dół, ale w połowie schodów zatrzymał się.

Ojciec stał już ze świecą w sieni, ubrany, jakby się wcale nie kładł. Pukanie stało się natarczywe. Ojciec osłaniał dłonią światło. Chyboczący blask kładł głębokie cienie pod oczy. Marcin nie widział jeszcze takiej twarzy u ojca. Bał się.

— Kto tam?

— Otwierać!

— Kto tam?

— Otwierać, policja!

Marcin chciał krzyczeć, lepkie palce ślizgały się po poręczy. Ojciec podniósł metalową klapkę i nachylił się nad przeziernikiem. W tej chwili trysnęła smuga niebieskiego ognia. Ojcze! — krzyknął. Świeca zgasła.

Ktoś drzwi zatrzasnął. Firanki wzdęte jak żagle od szarpiącego rzeźkiego wiatru. Po ścianie szedł cień ojca przygiętego pod sieciami. Przewiało zapachem kawy — rano. Marcin przygląda się podejrzliwie spokojnej twarzy matki. Zna dobrze zmowę tych zaciśniętych warg. Nic się nie dowie, choćby jej wszystko najdokładniej opowiedział. Matka pogłaska go i powie: Śniło ci się, ty śpiochu. Marcin uważnie ogląda draśnięte drzwi i świeże drzazgi żółtego drzewa. Odwraca głowę — naprzeciwko odbity tynk. Marcin nie da się oszukać, ma dwanaście lat i rozumie już dużo.

Przymknął oczy. Gruchały gołębie.

1. UBEZPIECZENIA NA WYPADEK CHOROBY.

Sprawę opieki nad zdrowiem społeczeństwa w Anglii rozpatrzymy pod kątem widzenia administracyjnym, t. zn. wedle czynności, wykonywanych przez poszczególne władze.

Wychodząc z tego założenia, należy stwierdzić, że jednym z dwóch najważniejszych działów opieki nad zdrowiem, administrowanym bezpośrednio przez Ministerstwo Zdrowia, są ubezpieczenia na wypadek choroby i niezdolności do pracy. Ubezpieczenia te wprowadzono w Anglii w r. 1911 na wzór niemiecki. Od tego jednak czasu zaszły liczne zmiany w odnośnym ustawodawstwie. Obecnie obowiązuje ustawa z r. 1924. Główną cechą systemu angielskiego jest swoboda zapisywania się przez osoby podlegające ubezpieczeniu bądź do ubezpieczalni państwowych, funkcjonujących za pośrednictwem urzędów pocztowych, przez które uskutecznia się wpłaty i wypłaty tygodniowe, bądź też do stowarzyszeń dobrowolnych, zaaprobowanych przez Ministerstwo Zdrowia. Drugą cechą wspomnianego systemu jest pozostawienie ubezpieczonym swobody w wyborze lekarza z pośród lekarzy ubezpieczalni państwowych i dobrowolnych. Ubezpieczeniu podlegają tak mężczyźni jak i kobiety zatrudnione zarobkowo, o dochodzie rocznym nie przekraczającym £ 156. Składki tygodniowe podzielone są między pracodawcę, ubezpieczonego i skarb państwa w proporcji: 3/9, 4/9 i 2/9. Jedną z wad ustawy angielskiej jest fakt, iż nie obejmuje ona rodzin osób, zatrudnionych zarobkowo. Jedyne odchylenia od tej zasady stanowi wypłacanie żonom ubezpieczonych jednorazowej zapomogi w kwocie £ 2 w razie przyjścia dziecka na świat. Kobieta, która jest sama członkiem ubezpieczalni, otrzymuje także większą kwotę przy przyjściu na świat dziecka, bez względu na to, czy jest zamężną, czy też nie, oraz cztery tygodniowe wypłaty przewidziane na wypadek choroby. Warunkiem jednak tej wypłaty jest nieprzychodzenie do pracy przez cztery tygodnie. Świadczenia, z których korzystają ubezpieczeni, polegają na: a) bezpłatnej opiece lekarskiej, b) bezpłatnym leczeniu w szpitalu lub sanatorium na wypadek cięższego zasłabnięnia, i c) na tygodniowych zasiłkach pieniężnych w czasie choroby lub niezdolności do pracy w wysokości 12½ szylingów dla mężczyzn i 10½ szylingów dla kobiet. Zasiłki powyższe wypłaca się przez 26 tygodni, po tym zaś okresie ulegają one zmniejszeniu do 7½ szylingów, tak dla mężczyzn jak i dla kobiet.

Dodatkiem do ustawy o ubezpieczeniu na wypadek choroby i niezdolności do pracy z r. 1924 jest ustawa z r. 1925 o zabezpieczeniu starców, wdów i sierot. Ponieważ ustawa ta nie dotyczy bezpośrednio zdrowia zainteresowanych, wspomnimy tu tylko pokrótce, że przewiduje ona wypłatę tygodniowych zasiłków wdowom i sierotom po ubezpieczonych, do czasu śmierci lub powtórnego zamążpójścia wdowy i do czasu opuszczenia szkoły przez sieroty, czyli do lat 14 *respective* 16. Przewiduje ona również zasiłek tygodniowy w wysokości 10 szylingów dla członków ubezpieczalni w okresie od 65 do 70 roku życia.

Fakt, iż ustawowemu ubezpieczeniu podlega około 1/3 ludności całej Anglii wraz z Walią, pozwoli ocenić rolę, jaką posiada ono w ogólnym systemie opieki nad zdrowiem.

2. AKCJA ZE STRONY SAMORZĄDÓW. OPIEKA BEZPOŚREDNIA NAD LUDNOŚCIĄ.

Drugi, bardzo ważny dział akcji zdrowotnej spoczywa w rękach samorządów, pod kontrolą jednak Ministerstwa Zdrowia. Podstawą tej akcji jest obowiązująca dotąd ustawa z r. 1875, którą uzupełniono nowelami i przepisami dodatkowymi w związku z rozwojem higieny i techniki sanitarnej.

Akcja powyższa ma charakter bezpośredni, gdy dotyczy wprost jednostek, i pośredni, gdy celem jej jest stwarzanie odpowiednich warunków bytu.

Opieka bezpośrednia nad ludźmi rozpoczyna się jeszcze przed przyjściem ich na świat. Istnieje w tym celu duża ilość t. zw. klinik przedurodzeniowych *(antenatal)*, dostępnych dla ludności niezamożnej, z których korzysta ok. 50% przyszłych matek. Kliniki te udzielają porad i wskazówek i roztaczają opiekę także nad niemowlęciem po jego przyjściu na świat, a nawet do 3-go *resp.* 5-go roku życia, kiedy dziecko zostaje oddane do szkoły. Przy klinikach istnieją inspektorki zdrowia, które odwiedzają rodziny niezamożne, udzielają rad, oraz uczą zasad higieny. Instytucje te bardzo często zajmują się też dożywianiem niemowląt ubogich rodziców, oraz dostarczają potrzebnych środków leczniczych. W wielu wypadkach nie są one jednak prowadzone bezpośrednio przez władze samorządowe, lecz przez stowarzyszenia dobroczynne i społeczne w porozumieniu z samorządami.

Ta współpraca władz z organizacjami społecznymi jest w Anglii bardzo częstym zjawiskiem.

Wiek obowiązującego nauczania trwa od lat 5 do 14, przy czym wiele dzieci pozostaje w szkole do lat 16. W okresie tym młodzież szkolna pozostaje pod opieką lekarza szkolnego, opłacanego przez samorządy. Każde dziecko podlega gruntownym oględzinom przynajmniej trzy razy w ciągu swojej kariery szkolnej, — przy wstąpieniu do szkoły, w wieku około lat 10 oraz przed opuszczeniem szkoły, a w razie potrzeby częściej. W szkole odbywa się także kontrola czystości osobistej dziecka. Dzieci słabowite i niedożywione otrzymują jeden lub więcej posiłek w szkole. Ostatnio w wielu szkołach wprowadzono zwyczaj dawania dzieciom mleka. Za te posiłki rodzice dziecka uiszczają niskie opłaty, od których jednak mogą być zwolnieni z tytułu ubóstwa. W wielu okręgach samorządowych poza ogólnymi oględzinami lekarskimi odbywają się także oględziny specjalne, jak np. oczu, uszu, gardła, zębów. Wykryte jednak niedomagania nie zawsze leczone są na koszt samorządu.

Po opuszczeniu szkoły w wieku lat 14 dziecko niezamożnych rodziców pozbawione jest ustawowej opieki lekarskiej aż do lat 16, kiedy po ewentualnym rozpoczęciu pracy zarobkowej, podlega przymusowemu ubezpieczeniu, które nie należy jednak do kompetencji samorządów. Po okresie szkolnym dorosły obywatel nie korzysta z bezpłatnych usług lekarskich, o ile nie jest ubezpieczony, a na wypadek choroby leczony jest na koszt samorządu tylko w tym wypadku, gdy znajduje się w nędzy. Opieka jednak nad społeczeństwem trwa nadal. Choroby zakaźne podlegają przymusowemu zgłaszaniu, izolacją zaś chorych zakaźnie i umieszczaniem ich w szpitalach zajmują się władze miejscowe. W każdym okręgu samorządowym istnieją szpitale bezpłatne dla niezamożnych, utrzymywane z dobrowolnych datków i zapisów, jeśli jednak ich pojemność jest niewystarczająca, samorządy są obowiązane do zaspokajania istniejących w tej dziedzinie potrzeb.

3. WALKA O HIGIENICZNE WARUNKI BYTU.

Przejdźmy następnie do akcji, której celem jest zapewnienie ludności higienicznych warunków bytu. Akcja ta polega przede wszystkim na zabezpieczeniu ludności świeżego powietrza przez zakładanie parków publicznych i placów gier, lub przez budowę odpowiednich domów mieszkalnych. Na każdym samorządzie w miejscowości liczącej ponad 20 tysięcy mieszkańców spoczywa obowiązek wypracowywania raz na na pięć lat planu rozbudowy miasta z uwzględnieniem potrzeb zdrowotnych mieszkańców. Do tego też działu zaliczyć należy zaopatrywanie ludności w dobrą wodę przez budowę wodociągów. Pewne pojęcie o wysokim poziomie tej akcji da fakt, że już w r. 1924 25% jednostek administracyjnych wiejskich posiadało wodociągi. Od tego czasu duże sumy wydano na powyższe urządzenia, tak iż obecnie odsetek miejscowości w Anglii zaopatrzonych w wodociągi jest znacznie wyższy. Następną grupę usług stanowi usuwanie warunków szkodliwych dla zdrowia, do czego należy np. oczyszczanie miasta. Do akcji powyższej należy wreszcie nadzór nad tym, aby warunki szkodliwe dla zdrowia nie powstawały. Wspomnieć tu można o kontroli nad zakładami przemysłowymi, aby nie były one nadmiernie nasycone dymem, dalej o akcji przeciw zanieczyszczaniu rzek, przeciw zakłócaniu spokoju zbytnim hałasem i t. p.

Spójrzmy teraz na omawianą akcję od strony administracyjnej. Każda jednostka samorządowa obowiązana jest do zorganizowania Komitetu Zdrowia Publicznego, który opracowuje plany działania i sprawuje ogólny nadzór nad ich wykonywaniem. W każdym okręgu istnieje kierownik Służby Zdrowia *(Public Health Officer)*, lekarz z zawodu. Wykonywanie wspomnianych funkcyj przez władze samorządowe pozostaje pod dość ścisłą kontrolą Ministerstwa Zdrowia. Władzom tym jednak pozostawiono dość szeroką inicjatywę, to też służba zdrowia nie przedstawia obrazu jednolitego na całym obszarze Anglii i świadczenia na rzecz ludności w poszczególnych okręgach wykazują znaczne różnice w zależności od warunków miejscowych i możliwości finansowych danego okręgu. Na wypadek jednak gdyby świadczenia te zeszły poniżej pewnego minimum, Ministerstwo Zdrowia może wywierać na władze samorządowe presję natury finansowej przez zmniejszenie udziału danej jednostki terytorialnej w kredytach ze skarbu państwa. W wypadkach poważnego zaniedbania władze samorządowe podlegają odpowiedzialności sądowej.

W zakończeniu pragnę wspomnieć, iż w programie reform społecznych obecnego rządu angielskiego leży obok rozciągnięcia ustawowej opieki lekarskiej na wiek od lat 14 do 16 (które to lata stanowią lukę w obecnym systemie), także zorganizowanie służby położniczej.

Dla uzupełnienia niniejszych uwag należy jeszcze wspomnieć w kilku słowach o ustawodawstwie, które ma na celu ochronę zdrowia pracowników w handlu i przemyśle, kontrolowanym przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Liczne w tej dziedzinie istniejące przepisy mają na oku stworzenie możliwie najlepszych warunków hygienicznych w fabrykach, zakładach przemysłowych i w sklepach.

O postępie higieny społecznej w Anglii świadczą doroczne sprawozdania, ogłaszane przez Ministerstwo Zdrowia. Wynika z nich, iż w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu śmiertelność ogólna, a zwłaszcza śmiertelność wśród niemowląt spadła bardzo znacznie. Ta ostatnia w r. 1934 wynosiła 59 na 100 (wchodzą tu w grę tylko dzieci do pierwszego roku życia). Plagą, z którą dotychczas Anglia walczy częściowo bezskutecznie, jest wyższa niż w niektórych krajach kontynentu europejskiego i nie zmniejszająca się ostatnio śmiertelność położnic, to też projektowane zorganizowanie służby położniczej jest krokiem bardzo pożądanym. Drugą ciemną plamę na tle ogólnej poprawy w dziedzinie zdrowotności, nie wyłączając gruźlicy, stanowi rozpowszechnienie coraz większe raka. W r. 1934 umarło na raka w Anglii 63.263 osoby. Walce z tą straszną chorobą poświęca się tutaj od wielu lat dużo uwagi i planowego wysiłku. Jedną z instytucyj uczestniczących w tej kampanii jest powstały przed paru laty w Londynie szpital im. Marii Curie.

Londyn

W. FIRSOFF:

DU GAMLA, DU FRIA, DU FJALLHÖGA NORD!

W Szwecji jest tak przestronnie i trochę pusto, panuje taka dostojna, cicha, zbiorowa samotność. Miasta są spokojne: na ulicach dużo aut, jadących szybko, bez hałasu, dorożek konnych nie ma, czasem zdarzy się tylko wielka platforma zaprzężona w ciężkie ogromne konisko, która toczy się z turkotem przez gładką, czystą ulicę, przechodniów pieszych jest mało, nawet w Stockholmie na chodnikach nie ma tłoku, choć równocześnie przez jezdnię mknie limuzyna za limuzyną w 2-metrowych odstępach. Nawet budowle są inne niż w reszcie Europy — również dostojne i ciche, jednocześnie ciężkie i strzeliste, ściśnięte, ale przestronne, przy czym okna są duże, lecz mniejsze niżby być powinny, co nadaje im szczególny północny wyraz. Podobnie nowoczesne domy modernistyczne, choć zdawałoby się takie same, jak gdzie indziej, są inne — północne: okna mają nieco mniejsze i wyższe, są ściśnięte i podciągnięte do góry, a przy tym naprawdę „w stylu“ i na swoim miejscu.

Młode kobiety, nieraz bardzo przystojne i eleganckie, mają w sobie coś chłopięcego; chodzą szybko, dużymi krokami, często na niskich obcasach; malowane wargi należą do rzadkości — przez trzy dni w Stockholmie widziałem tylko jedną panią, która miała wyraźnie nienaturalny kolor ust. Szwedzi są w miarę eleganccy, ubrani spokojnie, z godnością; ludzi źle ubranych nie widuje się wcale: robotnicy wracający od pracy mają na sobie niebieskie lub żółte bluzy, które, oczywiście, są nieco przybrudzone, ale nie można tego nazwać złym ubraniem — przeciwnie jest to ubranie niewątpliwie eleganckie, gdyż stosuje się w zupełności do potrzeby chwili. Tylko narciarze szwedzcy ubrani są dużo gorzej od naszych, wychodzą bowiem z tego założenia, że narciarstwo nie jest tym samym, co przegląd toalet; zresztą w górach szwedzkich warunki są ciężkie, jest dużo zimniej, panują częste wiatry, a przebywać trzeba rozległe przestrzenie, co nadaje narciarstwu szwedzkiemu inny tenor wewnętrzny.

W stosunkach towarzyskich nikt nikomu się nie narzuca, wszyscy odnoszą się nawzajem do siebie z uszanowaniem, bardzo spokojni, a równocześnie nieskrępowani; w kołach tak zwanej młodzieży uniwersyteckiej — mniej więcej do lat 50 — po 5-ciominutowej rozmowie jest się z reguły „per ty“. Do cudzoziemców w pierwszej chwili odnoszą się Szwedzi z pewną rezerwą, boją się, by coś czy ktoś nie zakłócił ich wygodnego, dobrze ułożonego życia.

Jest tu zresztą tak wygodnie: nie mam na myśli materialnego komfortu, który jest największy ze wszystkich krajów świata, ale moralną wygodę; jest się naprawdę wolnym, a równocześnie ma się olbrzymie poczucie bezpieczeństwa — wszystkiego można być pewnym: danego słowa, spełnienia obowiązku, szczerości przyjaciela... nie ma tego wiecznego oczekiwania przykrej niespodzianki, które po prostu zatruwa życie w Polsce. Uciążliwy jest tylko obowiązek ciągłego dziękowania i używanie skomplikowanych tytułów, doprowadzone do absurdalnej przesady. Zresztą Szwedzi pomimo niewątpliwego zamiłowania do porządku, wyradzającego się często w starokawalerski pedantyzm, nie znoszą żadnego przymusu, i nie ma tu śladu niemieckiego drylu, zato zdarza się czasem iście słowiański bałagan, który tylko dlatego wygląda na porządek, że jest to taki — spokojny bałagan, gdzie nikt nie krzyczy i nie awanturuje się.

A zatem żyje się tu bardzo wygodnie pod względem moralnym, a pod materialnym — wygoda ta jest jeszcze większa. W elektrycznym kraju zapałek, elektroluksów, gimnastyki i Grety Garbo wszystko jest w najlepszym gatunku i wszystkiego jest dosyć, wogóle przeciętna stopa życiowa jest taka, o jakiej w Polsce nie mają pojęcia, a to, co tam uważa się za szczególny luksus, jest tu rzeczą najzupełniej codzienną. Mieszkania są takie czyste i takie — elektryczne; wszędzie telefony, elektryczne imbryczki, guziczki, które się przyciska etc. etc. W każdym prawie domu — winda, koleje elektryczne mkną szybko, miękko, bez dymu i kurzu, małe, zabawne samochodziki, którymi na stacjach rozwozi się bagaż — też elektryczne. Jest wygodnie, spokojnie i wygodnie, tak spokojnie i wygodnie, że ludzie od czasu do czasu z samego spokoju i wygody dostają bzika lub zapadają na różne nerwowe rozstroje; przy miejscowym sposobie odżywiania, który zabija wszystkie słabsze jednostki, nie jest to wprawdzie zbyt groźne, ale w każdym razie się zdarza. Odżywianie to jest zresztą zarówno obfite, jak doskonałe w gatunku, przypuszczać jednak należy, że wielu nie może wytrzymać popijania mlekiem śledzia ze słodką bułką i umiera za młodu — jest to, dodać muszę, tylko moje przypuszczenie, gdyż dotychczasowe statystyki nic podobnego nie wykazują. Te spaczenia nerwowe, o ile zdążyłem zauważyć, nie są zbyt niebezpieczne, prowadzi się bowiem zdrowy tryb życia i uprawia dużo sportów, lecz cywilizacyjna tęsknota, dożywiana przez północną przyrodę i zimowy brak słońca, jest objawem dosyć częstym. Powiedzieć jednak nie można, by Szwedzi byli smutni, tak samo, jak nie można powiedzieć, by byli weseli, jedynie, przy systemie kolektywnej samotności mają dużo czasu na zagłębianie się w sobie; z całą jednak pewnością są naturalni, a znalazłoby się też wielu ludzi w Polsce o zupełnie podobnym temperamencie, gdyby tylko przyszło im raz na myśl, że udawanie, iż jest się czym innym niż w rzeczywistości nie jest koniecznym warunkiem bytowania.

Należy bowiem skonstatować, że w typie fizycznym Szwecja jest bardziej zbliżona do Polski niż do Niemiec, a spotyka się tu całą masę ludzi wyglądających na Polaków.

Charakter ludności i urządzeń kraju harmonizuje zresztą doskonale z otoczeniem. Drzewa w lesie rosną zdala od siebie, szanując tę samą zasadę zbiorowej samotności, która obowiązuje wśród ludzi. I tu jest przestronnie, czysto, dostojnie, jest jakiś dziwny, zupełnie pierwotny porządek — lasy Skandii rosną bowiem przeważnie tak, jak tysiąc lat temu, nietknięte. Sosna i świerk, ciche jeziora, szybkie rzeki, toczące się przez rozległe płaskie doliny, bloki granitu i morze, z rzadka tylko — pola uprawne, a na południu — ogrody... Dużo swobody, dużo przestrzeni i mało ludzi.

WYBUCH WIERSZA

Alchemik słońca w tygle natoczył,
Dolał zieleni, drzewnego soku,
Przymieszał tęczy — i bryznął w oczy
Nagłą eksplozją w szampańskim korku.

Zapachem poił, serce odurzał,
Zmysły opętał przez śpiewne gusła —
I cały w palcach zastygł jak róża,
I czarne płatki na kartce usłał.

STEFAN GOŁĘBIOWSKI

HISTORIA

HENRYK BAGIŃSKI (ps. *Józef Chłopski*) ppłk. dypl.: *U podstaw organizacji wojska polskiego 1908 — 1914*. Warszawa 1935. Nakładem sekcji historycznej Stow. uczestników ruchu niepodległościowego „Zarzewie".

Czas już najwyższy zabrać się do intensywnych badań i opracowań historii naszych niedawnych wysiłków zbrojnych, mających na celu odzyskanie niepodległości. Wprawdzie prace w tym kierunku są już dość dawno na ogół podjęte, lecz należy je przyśpieszyć i to z dwu głównie powodów. Raz dlatego, że życie rodzi coraz silniej odczuwaną potrzebę i konieczność zaznajamiania szerokiego ogółu, a zwłaszcza młodszego pokolenia, z tym, w jaki sposób doszliśmy do uzyskania niepodległego państwa i kto się najwięcej przyczynił do tego. Po wtóre, z tego powodu, że czas szybko uchodzi, a jest on dla prac tego rodzaju, niestety aż nazbyt często, elementem destrukcyjnym, gdyż pamięć ludzka, choćby i najlepsza, zawodzi coraz więcej w miarę oddalania się od tych wydarzeń, a co gorsza, nielitościwe Parki przecinają nić życia niejednego z wybitnych uczestników tych wysiłków. To coraz trudniejsze położenie ratują dochowane akta, jako bardzo wartościowy materiał źródłowy i główna podstawa i punkt wyjścia opracowań. Ale wiemy aż nadto dobrze, że wśród nich są liczne luki i niedomówienia — i uzupełnić je mogą tylko uczestnicy tych wydarzeń.

Uwagi te nasunęły mi się przy sposobności czytania książki napisanej przez płk. Bagińskiego. I tu, jak wynika z przedmowy, sekcja historyczna „Zarzewia" zamierzała pierwotnie wydać wspomnienia najważniejszych kierowników pracy zarzewiackiej i drużyniackiej, lecz projekt ten, choć w założeniu bardzo szczęśliwy, niestety nie mógł dojść do skutku z różnych powodów. Na szczęście stowarzyszenie to posiada do dyspozycji obfity materiał źródłowy, tak współczesny jak i powstały później z nadesłanych przez uczestników relacyj, który posłużył jako główna podstawa do napisania dużego dzieła. Nawiasowo muszę zaznaczyć, że tytuł jego jest za obszerny, gdyż treść książki nie obejmuje całości ruchu zbrojnego, z którego powstało później wojsko polskie, lecz tylko jego części. Mianowicie płk. Bagiński przedstawił w nim genezę w r. 1908 ruchu niepodległościowego wśród młodzieży grupującej się około czasopisma *Zarzewie* oraz nakreślił dzieje nie tylko tego ruchu — ale też dwóch założonych i kierowanych przez zarzewiaków organizacyj: skautingu polskiego oraz „Armii polskiej" i podległych jej Polskich Drużyn Strzeleckich. Rozwój ich, w tej książce dopiero po raz pierwszy w całej pełni szczegółowo przedstawiony, to ogromnie ciekawa karta z historii naszego ruchu niepodległościowego.

Zainicjowany on został przez grupę „Młodzieży Niepodległościowej" po rozłamie, jaki dokonał się w r. 1908 w Organizacji Młodzieży Narodowej. Z skromnego zawiązku, obejmującego zrazu niewielką ilość członków, szybko rozrósł się dzięki niezmordowanym zabiegom osób zajmujących kierownicze stanowiska. Garnęła się do niego coraz żywiej głównie młodzież szkół wyższych i średnich. W miarę rozwoju ilościowego, postępuje doskonalenie organizacji, rosną też zadania. W r. 1910 — powstaje „Legion Niepodległości" z Delegacją Naczelną, jako najwyższą władzą organizacji akademickiej. Jednym z głównych i zasadniczych zadań było od samego początku przygotowanie się do walki zbrojnej o Niepodległość Ojczyzny. W tym celu tworzy się naprzód Polski Związek Wojskowy, który następnie przemienia się w organizację „Armii Polskiej". Aby zaś szeregom jej zapewnić dopływ już wyćwiczonej młodszej generacji — powstaje w r. 1909 organizacja harcerska i organizują się w szeregu miast, głównie w „Sokole" — oddziały ćwiczebne.

W pracach tych nadzwyczaj trudnych, bo mających charakter tajny, nie ograniczano się tylko do głównych centrów życia akademickiego, jakimi były podówczas Lwów i Kraków, ale rozwijano je i na galicyjskiej prowincji, a co ważniejsza, powoli zaczęto organizować je w Królestwie oraz w Poznańskim, a jednocześnie — w miarę rozwoju sił — poczęto zakładać Komendy miejscowe za granicami Polski, naprzód w Wiedniu, a później wszędzie tam, gdzie były większe skupienia polskiej młodzieży akademickiej, jak w Leodium, Verviers, Paryżu, Genewie, w końcu nawet działalność swą przerzucono na drugą półkulę, do Brazylii i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Konspiracja jednakże wpływała hamująco na dopływ nowych członków i rozwój coraz rozszerzających się agend. To też Zarzewiacy, idąc za wzorem Związku Walki Czynnej, postarali się o zalegalizowanie władz przynajmniej pewnej części swej działalności. Na jawnych już zasadach powstały pod koniec 1911 r. pierwsze Polskie Drużyny Strzeleckie, jako niższy stopień organizacyjny nadal jeszcze tajnej Armii Polskiej. Największy ich rozwój i nasilenie działalności przypada na koniec 1912 r. i początek 1913, co spowodowane było możliwością wybuchu wojny między Austrią a Rosją na tle powikłań bałkańskich. Po zażegnaniu tego konfliktu opadł też w pewnej mierze nastrój wojenny i w kołach młodzieży niepodległościowej, skutkiem czego niespodziewany wybuch wojny światowej zastał ją nie dość przygotowaną do czekających ją ciężkich i odpowiedzialnych zadań. W każdym razie, według obliczeń, może nazbyt optymistycznych, płk. Bagińskiego, siły Zarzewiaków dochodziły wtedy do 10.000 członków. Z liczby tej dość wielu ubyło, zmuszonych do służby w wojskach zaborczych, a wielu wycofało się jako rozbitki Legionu Wschodniego. Mimo to jeszcze poważna ilość Drużyniaków weszła w skład Legionów i zasiliła ich szeregi pokaźnym zastępem ludzi, nie tylko posiadających odpowiednie wyszkolenie wojskowe, ale, co więcej, stojących na wysokim poziomie ideowym. Szkoda tylko, że autor nie podał bodaj w przybliżeniu cyfry Drużyniaków w Legionach.

Płk. Bagiński, znany już jako autor wartościowej pracy p. t.: *Wojsko Polskie na Wschodzie*, wywiązał się bardzo dobrze z powierzonego mu przez sekcję historyczną „Zarzewia" żmudnego zadania. Na podstawie obfitego materiału źródłowego i literatury opisał szczegółowo wszystkie fazy rozwojowe tak głównych organizacyj jak i poszczególnych oddziałów prowincjonalnych oraz okręgów zagranicznych. Trudną w takiej masie akt i rozlicznych agendach orientację ułatwiała mu dokładna znajomość omawianego przedmiotu, gdyż sam przez dłuższy czas zajmował czołowe stanowisko w w tych organizacjach. Ale i w tym dziele, mimo włożonej olbrzymiej pracy są pewne nierówności. Tak np. działalność we Lwowie jest szczegółowiej omówiona aniżeli w Krakowie, a w pracach niektórych okręgów zagranicznych istnieją luki. Również nie dość wyraźnie nakreślony jest okres tuż po wybuchu wojny. Niedociągnięcia te wynikły po części z powodu niedostatku materiału źródłowego, ale po części także i dlatego, że autor, działając we Lwowie, sam lepiej znał to środowisko aniżeli inne, i że później, opuściwszy to miasto przed wybuchem wojny światowej, nie brał udziału w akcji mobilizacyjnej. Wracając do mych wstępnych uwag, wysnuwam stąd wniosek dla innych, zresztą w niczym nie mogący uchybić benedyktyńskiej pracy płk. Bagińskiego, że tego rodzaju wydawnictwa powinny być zasadniczo dziełem zbiorowym kilku autorów, znających najlepiej dany okres, czy odcinek działań.

Książka ta, przepojona szczytną ideą walki o niepodległość, została pięknie wydana. Zdobią ją liczne fotografie uczestników i uzupełniają, oprócz bez mała 300 dokumentów, spisy i skorowidze nazwisk i pseudonimów oraz szkic rozmieszczenia ekspień Zarzewia na ziemiach polskich.

BRON. PAWŁOWSKI

*

STEFAN TRUCHIM: *Geneza szkół realnych w Wielkim Księstwie Poznańskim*. „Bibliotheca Universitatis Liberae Polonae" Serja B. Nr. 2 (25). Warszawa 1936. Wydano z zasiłku Ministerstwa W. R. i O. P. Skład Główny: Gebethner i Wolff.

Tak zwane „szkoły realne" należą już dziś u nas do przeszłości; w historii naszego szkolnictwa jednak odegrały one wybitną rolę, zwłaszcza na terenie b. zaboru austriackiego i pruskiego. Szczególnie interesujące są dzieje szkół realnych ze względu na stopniowe kształtowanie się ich typu, jako drugiej, obok humanistycznej, formy kształcenia zawodowego, tudzież ze względu na wpływ, jaki szkoły te, same z czasem zanikając, wywrzeć miały na gimnazja, przybierające postać rozmaitych typów pośrednich, jak np. „gimnazja realne" w Niemczech, a u nas „gimnazja matematyczno-przyrodnicze" itp. Dyskusja nad wartością kształcącą obu tych typów należy do najciekawszych w literaturze pedagogicznej. Godzi się też zaznaczyć, że i nowy, jednolity typ obecnego naszego gimnazjum ogólno-kształcącego zawdzięcza niejedno dawnym „szkołom realnym".

Na tym tle wymieniona w nagłówku praca znanego historyka szkolnictwa, Stefana Truchima, zyskuje mimo swej specjalności — ogólniejsze znaczenie, dzięki któremu zainteresować może i niefachowca. Praca to nader sumienna, nienaganna pod względem metodycznym, oparta na bardzo rozległej literaturze i samodzielnych badaniach archiwalnych, a tym samym bogata w wyniki naukowe.

Składa się ona z trzech części. W pierwszej omawia autor genezę i dzieje szkół realnych w Niemczech, Francji i Austrii, a zwłaszcza w Niemczech, w związku zaś z tymi ostatnimi stosunki szkolne w ówczesnym zaborze pruskim: ilość i stan szkół na ziemiach polskich, przypadłych w udziale Państwu Pruskiemu w myśl postanowień kongresu wiedeńskiego, organizację tych szkół i stosunek władz pruskich do nich, administrację szkolną w Prusiech, system kształcenia nauczycieli pruskich szkół średnich, ogólnych i technicznych, a wreszcie stosunki służbowe nauczycieli w tychże szkołach.

Z wywodów autora wynika niedwuznacznie, że ściśle wykrystalizowanie się typu szkoły realnej dokonało się w Niemczech, a szczególnie w Prusiech. Mimo to należało, zdaniem naszym, w genetyce tego typu sięgnąć również do Anglii, gdzie już w w. XVII podstawy teoretyczne dla szkół „realnych" tworzą Bacon i Locke, a w związku z dokonywającymi się wówczas przeobrażeniami ekonomicznymi powstają rozmaite rodzaje szkół „realnych" (technicznych, praktycznych).

Część II swej pracy poświęca Truchim dziejom „wyższej szkoły mieszczańskiej" w Międzyrzeczu, jej powolaniu i stopniowemu przekształceniu się na „szkołę realną". Po raz pierwszy daje tu autor niejako wzorową monografię szkoły międzyrzeckiej, rzucającą wiele światła charakterystycznego także na ogólne stosunki szkolne, panujące w zaborze pruskim.

Podobnie źródłowo kreśli autor w części III dzieje powstania „szkoły realnej" w Poznaniu, w których ze strony polskiej szczególną rolę odegrali Raczyński i Libelt. W ramach tej części swej pracy omawia Truchim szczegółowo studium Libelta, poświęcone typowi szkoły realnej, wykazując — mimo krytycznych zastrzeżeń — wręcz rewelacyjne walory tego studium, wyprzedzające znacznie współczesne poglądy pedagogiczne, dzięki którym uznać należy Libelta za polskiego prekursora idei kształcenia realnego, jako równorzędnego z kształceniem humanistycznym.

Co się tyczy samej „szkoły realnej" w Poznaniu, wykazuje Truchim dowodnie, że czynnikiem, który długo przeciwstawiał się jej założeniu, było nie lokalne mieszczaństwo niemieckie, ani władze centralne (pruskie Ministerstwo Oświecenia), lecz władze szkolne drugiej instancji (królewska regencja w Poznaniu), a to ze względu na to, że szkoła realna miała być utrakwistyczna, owe zaś władze szkolne widziały w tym przeszkodę w swoich dążeniach germanizacyjnych. Tym się też tłumaczy, że dopiero w r. 1853 pruskie Ministerstwo Oświecenia w drodze zakazu udzieliło zezwolenia na założenie tej szkoły.

Załączniki, streszczenia (w języku francuskim i niemieckim) oraz indeks osób zamykają omawianą książkę.

W rezultacie stwierdzić należy, że dziełem swym Truchim dobrze się zasłużył dziejom naszego szkolnictwa.

J. MIRSKI

*

ALEKSY RŻEWSKI: *Szlakami walki i buntu*. Wspomnienia z walk rewolucyjnych z trójzaborcami. Łódź 1936. S. Seipelt.

Aleksy Rżewski, znany zaszczytnie na terenie Łodzi były bojowiec P. P. S. z roku 1905 i ścigany przez najeźdźców działacz niepodległościowy z czasów okupacji niemieckiej, cieszy się zasłużoną powagą wśród miejscowej opinii publicznej, czego dowodem, że zaraz w początkowych dniach po odzyskaniu niepodległości został wybrany pierwszym prezydentem w Łodzi, a następnie przez szereg lat piastował urząd łódzkiego starosty powiatowego. Jak wielu niepodległościowców jego pokolenia, walczył dwojaką bronią: czynem i słowem, przy czym słowo zawsze było na usługach czynu. O formie słowa decydowała okoliczność i doraźna potrzeba. Od zarania swej działalności publicznej pisał: wiersze, opowiadania, przemówienia, odezwy; w tych wierszach i w tych opowiadaniach, pisanych nie tylko z potrzeby własnego serca, ale i dla kształtowania serc przyszłych pokoleń, znajdujemy więcej treści niż formy, który autor nie miał po prostu czasu wykształcić i która dla niego w ogniu podziemnej walki rewolucyjnej zawsze była, rzecz zrozumiała, sprawą drugorzędną. Podbija w nich zato autentyczność bezpośrednio przeżytej treści, która jest najcenniejszą dokumentacją naszej martyrologii niepodległościowej. Ostatnio wydał Rżewski zbiór wspomnień z walk rewolucyjnych z trójzaborcami p. t. *Szlakiem walki i buntu*, czyniąc jakby zadość pamiętnemu wezwaniu Marszałka Piłsudskiego, aby niepodległościowcy swymi zapiskami wspomnieniowymi z własnej działalności dawali jedyne autorytatywne świadectwo prawdzie historycznej swoich czasów.

W przedmowie autor w ten sposób charakteryzuje własną publikację i jej cel: „Książka zawiera garść wspomnień, począwszy od roku 1905 po lata ostatnie. Oparte na własnych przeżyciach, związane z własną „bujną i górną" młodością, pisane z myślą, by mogły być nauką, a często i groźnym *memento* dla dzisiejszego pokolenia. Uzupełnieniem ich były źródła w postaci dzienników, ulotek, odezw i t. p., przechowywanych w zbiorach łódzkich. Pisane bez jakiejkolwiek pretensji, zamknęły cząstkę własnego życia — lata młodzieńcze i męskie. Niech też świadczą o pokoleniu, które „szło do Polski" i za nią ginęło — jako żywe świadectwo i dokument tego nieśmiertelnego polskiego *nil desperandum*, które nigdy nie opuściło naszego ducha, doprowadzając wreszcie do wskrzeszenia Polski".

Autor jako niepodległościowy rewolucjonista przeszedł wszystkie etapy tej bohaterskiej wędrówki do wolnej Polski. Począwszy od pierwszego „chrztu bojowego" w roku 1905 w walce ulicznej z kozakami, poprzez tajne roboty w podziemiach konspiracji, poprzez więzienia carskie, legendarny już we wspomnieniach bojowców i literaturze polskiej Sybir, poprzez ciernistą niedolę ucieczki z Sybiru i powrotu do kraju, poprzez pielgrzymstwo emigracyjne po ziemi francuskiej, poprzez walki z okupacją niemiecką i austriacką, aż do wysokich stanowisk społecznych w wyzwolonym już i niepodległym państwie. W pewnym miejscu swej książki Rżewski mówi pięknie: „Serca nasze są jak cmentarze, które pod kwiatami, darnią kryją ślady tych, co już zeszli ze świata, a są gościnnym polem dla budzących się wspomnień, związanych z ludźmi przeszłości i czynu". Cała książka robi wrażenie jak gdyby cmentarza pełnego kwiatów wspomnień wyrosłych na grobach bohaterskich czynów bojowców. Każdy z rozdziałów książki autor zaopatruje w stosowne motto z któregoś z wielkich poetów polskich, przeważnie Mickiewicza, Słowackiego, Langego i Słońskiego, poddając jak gdyby odpowiedni ton pod mu zycznym nastrój wspomnienia, które w danym rozdziale ma być opowiedziane.

Wspominając swój pierwszy „chrzest bojowy" autor opowiada: „Po oddaniu kilku strzałów rewolwerowych przez obrońców barykady (na ulicy Nawrot) 61 pułk piechoty rozpoczął natarcie. Rozległa się salwa jedna, druga. Widziałem jak Moskal wbił bagnet w brzuch mego kolegi, który uchwycił się obu rącz za karabin i szamotał się beznadziejnie. Dopadłem do zakładu fotograficznego Pippla. Schwyciłem kurczowo za klamkę drzwi, a widząc dobiegającego do mnie żołdaka z bagnetem, pchnąłem drzwi z taką siłą, że pękł zamek. Przeleciałem oszołomiony przez mieszkanie i ukryłem się u jakiegoś drukarza na drugim piętrze. Dopiero wtedy poczułem, że jestem ranny w nogę, którą kula karabinowa przeszyła nawylot".

Przytoczyłem tę próbkę opisu, aby dać czytelnikowi pojęcie o wrodzonym darze plastyki opowiadawczej autora. Ten moment pierwszego chrztu bojowego i końcowy moment nadania autorowi przez Marszałka Piłsudskiego odznaki pamiątkowej więźniów ideowych, to jakby dwie klamry spinające w zwartą całość zbiór tych opowiadań.

I jeszcze na jedną stronę książki Rżewskiego należy zwrócić uwagę. Tam, gdzie autor mówi o własnych bezpośrednich czynach i przejściach, robi to w formie prostych słów od siebie, tam zaś, gdzie maluje ogólne tło zdarzeń i konfliktów pomiędzy poszczególnymi ugrupowaniami politycznymi, powołuje się na ówczesne dokumenty, wycinki z prasy różnych odcieni, zyskując w ten sposób na obiektywności oświetlenia ogólnego tła i poszczególnych zdarzeń. Tak zwłaszcza skonstruowane zostały rozdziały „Lokaut łódzki" i „Walki bratobójcze w Łodzi w roku 1905 — 1906". Ta chwalebna bezstronność autora podnosi również wartość jego cennej publikacji.

MARJAN PIECHAL

*

MARCELI HANDELSMAN: *Rok 1848 we Włoszech i polityka ks. Adama Czartoryskiego*. Kraków 1936. Polska Akademia Umiejętności.

Dwiema głównymi drogami dążyła działalność naszej Wielkiej Emigracji (po r. 1831) do odzyskania niepodległości Polski. Jedna z nich biegła przede wszystkim przez kancelarie dyplomatów, za słupy granicznie miała traktaty międzynarodowe, druga prowadziła poprzez wszystkie prawie w Europie rewolty, bunty, zawieruchy, niezadowolenie „ludów". Zbiegały się te drogi rzadko, kroczący po nich spotykali się niechętnie, trudno było tego wszakże uniknąć, gdy choć najmniejsza zjawiała się okazja zbliżenia ku wymarzonej godzinie powstania Polski. Takie właśnie spotkanie się głównych kierunków niepodległościowych polskich nastąpiło we Włoszech w latach 1848 — 49 na dwóch terenach, rzymskim i sardyńskim, dzięki tej samej na obydwu okazji — wojnie państw włoskich z Austrią. Przedstawicielem pierwszego kierunku był tu pomocnik ks. Adama Czartoryskiego, często jego inspirator, najczęściej samowolny a zwykle fantastyczny współpracownik, Władysław Zamoyski. Wyrazicielem kierunku drugiego był Adam Mickiewicz i stworzony przez niego legion. I dla Mickiewicza i dla ludzi Czartoryskiego punktem wyjścia był przede

wszystkim Rzym. Był to okres niezwykłej popularności papieża Piusa IX. Niewiele właściwie zrobił, by ją pozyskać. Ogłoszenie amnestii, wprowadzenie kilku reform, zapowiedź paru innych zjednały mu sławę liberalnego papieża. Do dziś dnia toczy się spór wśród historyków, włoskich zwłaszcza, o to, czy był nim naprawdę? Bo przecież w r. 1849 tenże papież zaczyna w swoim państwie surową reakcję, zwalcza usilnie wszelki liberalizm, staje się we Włoszech znienawidzony. Prof. H. słusznie tłumaczy tę zmianę tragiczną sprzecznością, tkwiącą w podwójnej roli papieża, który był równocześnie i władcą świeckim i głową kościoła, ale myśli swej obszerniej nie rozwija. Pius IX był istotnie postacią tragiczną. Całe Włochy w r. 1848 domagały się wojny z Austrią, bo uważały ją za głównego wroga zjednoczenia państw włoskich, Pius IX jako Włoch doskonale to rozumiał, ale przecież jako głowa kościoła nie mógł jej prowadzić z katolicką Austrią. Idea papiestwa musiała zwyciężyć nad polityką władcy świeckiego. Zdaje się wszakże, że i początkowa sława tego papieża jako liberała nie miała głębszego uzasadnienia i dałaby się, naszym zdaniem, wytłumaczyć dość prosto. Po bardzo surowych rządach poprzednika, Grzegorza XVI. przyszedł człowiek umiarkowany, „dobry człowiek", wprowadził kilka reform, które jako reakcja przeciw temu, co było dotąd, wydały się czymś większym, niż były w istocie. Czynniki rewolucyjne chciały go popchnąć dalej, nawet za daleko jak na papieża. Nic dziwnego, że zorientowawszy się w sytuacji, cofnął się na całej linii.

Słynna rzeź galicyjska (1846 r.) sprawiła, że Polacy zaczęli uważać Austrię za największego wroga sprawy polskiej i gorąco popierali Włochów w ich walce z Habsburgami. Sądzono naiwnie, że na czele krucjaty przeciwaustriackiej stanie sam Pius IX. Do Rzymu tedy dąży z prośbą o błogosławieństwo dla swego legionu Mickiewicz, w Rzymie pracuje Zamoyski. Obydwa obozy polskie zwalczają się namiętnie. Tak np. agent ks. Czartoryskiego, Ludwik Orpiszewski, denuncjował po prostu przed rządem papieskim Mickiewicza, że może on „rozruch zrobić w Rzymie", iż członkom jego legionu zdaje się, „że poświęcają się za Kościół Katolicki i Polskę, gdy tymczasem celem p. Mickiewicza jest towiańszczyzna i panslawizm". Chciano utrącić sprawę legionu poety a stworzyć własny, co się jednak ostatecznie nie udało.

Lepiej powiodło się Polakom w Sardynii i tu jednak ta sama niechęć, a nawet nienawiść dzieli obydwa obozy. Legion Mickiewicza zrosił obficie krwią pola Lombardii za wolność Włoch. Jego dzielność podkreślał nawet Zamoyski. Mimo to on właśnie był główną przyczyną jego upadku, po to zresztą, by resztki ludzi Mickiewicza weszły do nowej, dopiero tworzonej, legii. Nic dziwnego, że dowódca legionu mickiewiczowskiego, Siodołkowicz, z 43 najwierniejszymi wyznawcami ideałów poety porzucił legion i wyjechał do Florencji. Obok sprawy własnego legionu Zamoyski inną jeszcze chce rzecz przeprowadzić. Już w Rzymie chciał Czartoryski narzucić Piusowi IX na stanowisko naczelnego instruktora armii papieskiej generała Wojciecha Chrzanowskiego. Nie doszło do tego, ale tego samego generała po klęsce Włochów pod Custozzą Zamoyski chce przeforsować na wodza naczelnego armii włoskiej i cel swój osiąga. Historycy włoscy obarczyli i obarczają Chrzanowskiego ciężkimi jako wodza zarzutami, podkreślając, że przez swą nieudolność przyczynił się walnie do klęski Włochów pod Novarą. Prof. H. sprawy tej, przekraczającej ramy jego rozprawy i wymagającej oddzielnego studium, nie rozpatruje. Aczkolwiek dopiero studium takie wyjaśniłoby sprawę ostatecznie, to jednak już przy dzisiejszym stanie badań zdaje się, że wybór tego generała nie był zbyt odpowiedni. Chrzanowski nie znał dostatecznie terenu walki ani charakteru swych żołnierzy, nie znał nawet języka włoskiego. Co więcej, spotkał się z głuchą zawiścią, a nawet i nieposłuszeństwem, podwładnych sobie generałów, objął dowództwo nad armią znacznie gorszą od austriackiej. To wszystko zmniejsza ogromnie jego winę, jeśli nie uwalnia od niej całkowicie. Obok składania ofiar z ludzi na polu walki, agenci Czartoryskiego próbowali nawet poruszyć sprawę słowiańską w Austrii, a tym samym przyczynić się do rozsadzenia monarchii habsburskiej. Pisał kiedyś Stefan Żeromski, że „pakty międzynarodowe zawiera się nie tylko za cenę złota, żelaza, nafty, zboża lub budulca, lecz właśnie najskuteczniej za cenę wymienną krwi bohaterów, z jednej i drugiej strony wylanej". Wspomnienia tego rodzaju istotnie pogłębiają przyjaźń między narodami, a przecie czas najwyższy, byśmy przypomnieli sobie to, cośmy niegdyś dla innych robili. Jest niewątpliwą zasługą prof. Handelsmana, że w swej źródłowej i gruntownej, a przytem pięknie i ciekawie napisanej pracy nasze *habet* w dziejach Włoch 48 roku przypomniał.

M. ŻYWCZYŃSKI

TEATR

TEATR NARODOWY: *Wojciech Bogusławski*, widowisko w 5 aktach WINCENTEGO RAPACKIEGO (ojca) w adaptacji Leona Schillera. Reżyseria Józefa Śliwickiego, dekoracje Stanisława Jarockiego.

Nie ujmując zasług Schillerowi, który obmyślił to widowisko, i Śliwickiemu, który je przygotował, trzeba powiedzieć, że właściwie sztukę wyreżyserował z pomnika — Bogusławski. Jeśli przedstawienie wbrew przewidywaniom miało żywość i wewnętrzny ogień, to dlatego, że on mocą swojej legendy umiał natchnąć wykonawców zapałem i wzruszeniem. Udało mu się tutaj to nawet, co udaje się dzisiaj niewielu reżyserom polskim: wytworzenie legendarnego „zespołu", grupy artystycznej, w której wszyscy jednakowo myślą o całości. Aktorzy grali tak, jakby tego człowieka, którym się szczycą i któremu nikt już nie zaprzecza sławy i powagi, mieli naprawdę pośród siebie. Nic więc dziwnego, że w ich ujęciu stara trupa Bogusławskiego otaczała swego dyrektora najszczerszym uwielbieniem.

Pancewiczowa w roli aktorki Sierakowskiej wybuchała tak zapalczywym gniewem przeciw zawistnikom i wrogom Bogusławskiego, że wywoływała wśród nich na scenie popłoch, a na widowni rozrzewnienie. Łagodna Świerczewska (Deszner) patrzyła w niego jak w obraz. Brydziński jako wielki tragik tamtych czasów, Owsiński, darzył go wierną i oddaną przyjaźnią. Stanisławski, świetny jako sufler Skrzypalski, roznosił chwałę jego imienia wraz z biletami po antykamerach książęcych. Nawet zakochani ogromnie Barszczewska (Bawrowska) i Loedl (Nowakowski) odrywali czasami od siebie oczy, aby skierować nań spojrzenie, oddając ufnie swój los w jego ręce.

Ale i w wyższych sferach, na malowanych we freski pompejańskie pokojach dworu, miał niemniej uznania. Sam prezes Śliwicki po wieloletnich staraniach o budowę pomnika, teraz jako wytworny i niezdecydowany król Stanisław August darzył go łaskawym słowem. Różni wojewodzice i kasztelanowie nawracali się chętnie na jego wiarę w teatr polski — obywatelski, uspołeczniony, wrogi duchowi zysku. Co zaś do Lubieńskiej, to ona jako księżniczka Amelia z każdym aktem coraz głębiej pogrążała się w smutek i w rzewność, wiedząc, że wysokie urodzenie nakazuje jej zaślubić wojewodzica, ale że kochać naprawdę można tylko Bogusławskiego... Ledwie kilku intrygantów z poduszczenia Ryxa nie dzieliło tego ogólnego entuzjazmu i nie szafowało zachwytem — były to jednak, wbrew sercu, twarde nakazy roli.

Tak więc — aktorzy grali tu z widocznym przejęciem samych siebie. Sztuka, zresztą, nie dostarczyła im innych możliwości. Grono tamtych aktorów, doskonale zróżniczkowanych we wspomnieniach Bogusławskiego, tutaj jest tylko spisem nazwisk, za którymi ledwie gdzie niegdzie zamajaczy blady cień postaci, — cień ten patrzy na dyrektora z uwielbieniem albo spuszcza oczy z niechęcią, nie licząc się całkiem z sympatiami rzeczywistymi. Bo mizerna „historyczność" tej sztuki ogranicza się, na dobry ład, do pięknych kostiumów, co tutaj zostało wyzyskane umiejętnie dla stylowości widowiska. Cała reszta, owa „kronika" uchodząca za wiarygodną, jest niedołężnym zlepkiem faktów z różnych lat i miejsc. Gdyby to jakoś tłumaczyło się w sztuce potrzebą artystyczną, koniecznością skupiania wydarzeń, byłoby pół biedy. Ale nie — najczęściej jest tylko efekcikiem albo niedbalstwem. Warchoł Świerzawski, niechętny poważnemu repertuarowi, domaga się z wielkim krzykiem wznowienia *Pumpernikla*, farsy, która zjawi się w Warszawie w osiem lat po jego śmierci — w r. 1814. Król winszuje Bogusławskiemu pięknego wykonania roli Hamleta, którego Warszawa — już „pruska" — pozna dopiero w roku 1799. I tak jest ciągle w tej sztuce robiącej skromne miny tylko „kroniki" historycznej. Szekspir jest tu już tak osiedziały na scenie jak za czasów Rapackiego i całkiem nie zdaje sobie sprawy z tego, że jeśli nie ma w tym czasie w teatrze opinii „brzydkiej małpy", co się powtarza w „oświeconym doktrynerstwie" za Wolterem, — to dlatego, że teatr nie należy do „oświeconego towarzystwa" i jeszcze mało zna Woltera.

Tym organicznym wadom sztuki niewiele mogły zaradzić uzupełnienia Schillera, usiłujące przywrócić sens społeczny tamtemu teatrowi i zbliżyć do nas jego twórcę. Bogusławski, który śpiewa w salonach magnackich albo nawet królewskich zuchwałe pieśni z własnych sztuk, wygłasza urywki z własnych pamiętników, stoi na scenie podczas fragmentu przedstawienia *Cudu mniemanego*—mógłby istotnie przemówić do nas mocno i wzruszająco. Tylko jednak wtedy, gdyby wystąpił w sztuce pomyślanej jako widowisko okolicznościowe i ani trochę nie ubiegającej się o pozory prawdy historycznej. Obroniłaby go wówczas świadoma konwencjonalność, pochwała wybierająca z jego życia czyny najważniejsze — bez troski o ich chronologiczny układ. Wstawek Schillera jest zbyt mało, aby mogły sztuce nadać ten nowy charakter. — Tak zaś jak jest tutaj — Bogusławski musi potakiwać słowami autentycznymi autorskim błędom i niedbalstwom. A to nie jest dla „ojca teatru" rola nazbyt odpowiednia, zwłaszcza w apoteozie.

BOHDAN KORZENIEWSKI

NOTATKI

„DOCHODZIĆ" NIE ZAWSZE JEST TREFNE

Każdy przyzna, że zdanie „Tatuńcio zaraz dojdzie do telefonu" nie brzmi pięknie. „Dochodzenie" do telefonu, znajomego, obrazu czy stołu nosi piętno wybitnie regionalne. W Warszawie jest to regionalizm z okolic Bagna i Nalewek, w Krakowie — z Kaźmierza, w Łodzi — bardziej niż w innych miastach rozproszony i trudny do zlokalizowania. Regionaliści ze wspomnianych miast i okolic tym się różnią od wszystkich innych regionalistów, że nie kultywują swoich właściwości „gwarowych", owszem, spostrzegłszy, starają się je zatrzeć.

Dowiedzieli się np., że „dochodzić" do telefonu to „nie bardzo", poczynają więc z nieuzasadnioną a zabawną gorliwością tępić czasownik *dochodzić*, uważając go widać za „trefny" sam przez się. Tak znakomicie dopisująca im pewność siebie na innych polach, zawodzi nagle wobec pospolitego słowa. Nie wiedzieć dlaczego boją go się. Niesłusznie, bo *dochodzić* może być nieraz zupełnie „koszer".

Te uwagi, jako tyczące regionu, a nie całości Polski nadawałyby się raczej do *Naszego Przeglądu* niż do *Pionu*, gdyby nie fakt, że jednym z „błogosławionych" skutków „ożywienia", które „regionaliści" wnoszą do naszej kultury, jest przeszczepianie na polski grunt różnych dziwolągów językowych i śmiesznych skrupułów, świadczących o niewyczuciu ducha języka, a z dziwną łatwością udzielających się dobrym nawet stylistom. Ponieważ niesłuszne uprzedzenia do czasownika *dochodzić* — dochodzą już do tego, że polscy literaci piszą *przyszedłem do przekonania, przyszedłem do wniosku* — trzeba zająć się tym schorzeniem.

Przychodzić znaczy iść w kierunku przedmiotu czy osoby, znajdujących się w określonym i znanym nam miejscu. Więc przychodzimy do restauracji, do kawiarni, do znajomych. Nie można jednak „przyjść do przekonania", wniosku czy poglądu, bo tu nie zbliżamy się do czegoś z góry danego i istniejącego niezależnie od nas, ale stwierdzamy osiągnięcie pewnego stanu myślowego, które nastąpiło jako wynik dłuższego działania refleksji. Jedynie właściwy jest tu czasownik *dochodzić*. Podobnie jak do wniosku czy przekonania, *dochodzimy* (nigdy nie *przychodzimy)* do władzy, znaczenia, majątku, sławy, tam wszędzie, gdzie zachodzi proces walki, pracy, zdobywania. *Dochodzić* jest wybitnie dynamiczne.

Czasownika *dochodzić* można również użyć dla oznaczenia procesu zbliżania się fizycznego do rzeczy, której miejsce jest nam z góry znane, ale tylko wówczas, gdy chcemy podkreślić moment pokonywania oporu, zaznaczyć, że proces zbliżania się był związany z niedogodnością, trudem, kłopotem, zmęczeniem. Jeżeli ktoś mówi „doszedłem do telefonu" — to w polszczyźnie ogólnej (nie regionalnej) znaczy to, że osoba mówiąca ze szczególnym trudem zbliżała się do telefonu, umieszczonego np. na końcu długiego korytarza pełnego sprzętów. W tych wypadkach czasownik *dochodzić* poprzedzamy zazwyczaj wyrazami *nareszcie, w końcu* i t. p.

Wreszcie *dochodzić* bywa używane dla podkreślenia wysokiego stopnia jakiejś właściwości, protestu lub zdziwienia, jak np. w zdaniu: *Niedołęstwo nasze dochodzi już do tego, że pozwalamy narzucać sobie formy językowe, sprzeczne z duchem naszej mowy, i w dodatku przez ludzi nie mających nic wspólnego z polską kulturą.*

j. e. s.

POLEMIKA

SŁÓWKO POD ADRESEM POLEMIKI P. A. ŁASZOWSKIEGO *

P. A. Łaszowski atakując mój pogląd na hierarchię tematów w poezji upraszcza sprawę do poziomu podręcznika stylistyki dla szkół początkowych. Powiada, że nie temat, lecz intensywność przeżycia poetyckiego decyduje o wartości utworu. A któż kiedy twierdził inaczej? Prawda to przecież stara jak sama poezja. Zagadnienie, co ważniejsze w sztuce, czy źle namalowana głowa Kościuszki, czy dobrze główka kapusty — zostało raz na zawsze rozstrzygnięte na korzyść tej ostatniej jeszcze za czasów bodajże „Młodej Polski". Ale co zrobić w wypadku, jeżeli i głowa Kościuszki i główka kapusty zostały namalowane dobrze? Zdaje mi się, że i p. Łaszowski ze mną się zgodzi, że gdyby Matejko malował same tylko główki kapusty, a Mickiewicz pisał same tylko „ballady i romanse" albo wiersze o rabinie i pchle, nie staliby oni na tym poziomie znaczenia społeczno-narodowego, a nawet i artystycznego, na jakim stoją obecnie. Bo jeżeli w pewnych szczególnych wypadkach forma uświęca temat, to i odwrotnie, temat, „wielki temat", inspiruje, komplikuje i wzbogaca formę.

Już Tuwim dwadzieścia lat temu wołał: „Wszystkiemu chcę dać równouprawnienie", oczywiście, w poezji. Łaszowski dyskontując ten stary banał na rzecz awangardy podpiera go humorystycznym cytatem z Peipera: „Człowiek dzisiejszy nie ma powodu widzieć w słońcu nic więcej nad złotą centkę, ma zaś prawo w guziku od spodni upatrywać zwierciadło swojej własnej wielkości". Pytam się, dlaczego to „człowiek dzisiejszy" akurat „nie ma powodu" zachwycać się słońcem, a „ma prawo" zachwycać się „guzikiem od własnych spodni"? Jeżeli tak istotnie dzisiaj się dzieje, to tylko źle świadczy o tym „dzisiejszym człowieku".

Ale żart na stronę. P. Łaszowski ma zwyczaj polemizowania zawsze w przestrzeni wypompowanej z powietrza — odrywa zagadnienia od gleby życiowej i umieszcza je w pustce międzyplanetarnej, w absolutnej niejako próżni. Mówiąc o braku poczucia hierarchii u Peipera miałem przecież wyraźnie na myśli brak u niego wyczucia zasadniczych zagadnień epoki, w której żyjemy. Każda bowiem epoka cechuje się nie tylko sobie właściwymi formami w sztuce, ale i odpowiednimi tematami. W jednej epoce te, a w drugiej znów inne są ważniejsze, aczkolwiek wszystkie razem mają swoją rację bytu. Dante, Mickiewicz, Baudelaire czy Rimbaud byli wielcy, bo mieli poczucie hierarchii zagadnień czasów, w których żyli. Tematy mogą być różne. Chodzi przecież o to, jaki akcent kładzie się na wybrany przypadkowo temat.

Chyba, że p. Alfred Łaszowski sądzi, że symbolem naszej epoki jest „guzik od spodni", w którym każdy „ma prawo upatrywać zwierciadło swojej własnej wielkości" i wielkości epoki, w której żyje. Powiada przecież: „Dziś w samym ukształtowaniu widzeń poetyckich idea może dojść do głosu". Cóż

* *Pion*, nr 39 (156).

PODZIAŁ MILIONA

Chociaż losowanie miliona odbywa się trzy razy do roku, moment ten jest zawsze oczekiwany z najwyższym napięciem przez wszystkich interesujących się grą loteryjną.

Podobne zainteresowanie panowało też 28-go ub. m., a sala ciągnień Generalnej Dyrekcji Loterii Państwowej wypełniła się po brzegi. Gdy śród ciszy rozległ się głos:

— Numer 17385 wygrał dwieście złotych —

— a więc najmniejszą wygraną, stało się ogólnie wiadomym, że numerowi temu przypadł milion złotych. Oczywiście ciekawość wzmogła się jeszcze, teraz jednak przybrała formę pytania:

— Kto są ci szczęśliwcy, którym się uśmiechnęła fortuna?

Odpowiedź na to pytanie znajdują czytelnicy poniżej:

Pani Helena Dreszerowa, zamieszkała w Warszawie przy ulicy Hożej 16, gra na Loterii Państwowej od dłuższego czasu. Dotychczas niebardzo sprzyjało jej szczęście, ale jednorazowe powodzenie jest tak duże, iż pozwoli jej zapomnieć raz na zawsze o wszelkich troskach dnia powszedniego, jakkolwiek na ćwiartkę tę grało oprócz p. Dreszerowej kilku wspólników.

Właścicielem drugiej ćwiartki jest p. Matuszewicz, pracownik jednej z większych firm węglowych, zamieszkały również w Warszawie. Wygrana była dla p. M. tak wielką niespodzianką, że nie umiał sformułować swych projektów na przyszłość.

Pozostałe wreszcie dwie ćwiartki są w posiadaniu pani Osuchowskiej (ul. Krucza 20) i d-ra S., mieszkańców stolicy.

Nowym „milionerom" Generalna Dyrekcja Loterii Państwowej wypłaciła wygraną czekami na Bank Gospodarstwa Krajowego, gdzie też sumy te zostały zdeponowane.

Warszawa wogóle miała dnia tego szczęście, gdyż prócz miliona, padła w jednej z mniejszych kolektur stołecznych większa wygrana 50.000 zł. na numer 81317.

Na ciągnieniu tym zakończyła się trzydziesta szósta Loteria Państwowa. Kandydaci na przyszłych milionerów mogą się już zaopatrywać w losy do pierwszej klasy trzydziestej siódmej Loterii.

jednak począć, jeśli przedmiotem tych „widzeń poetyckich“ jest flaszka? Nawet to „dziś“, które zdaje się być dla p. Łaszowskiego wszystko rozgrzeszającym bożyszczem, nie wiele tu może pomóc. Albowiem, jak powiada p. Łaszowski: „Pisarz nadaje zjawiskom nowe własności i kwalifikacje. Może je „podciągnąć“ lub obniżyć, zależnie od tego, jaką rolę odegrały w jego życiu wewnętrznym“. Jeżeli jednak w tym „życiu wewnętrznym“ odgrywają najważniejszą rolę same tylko flaszki, to jakąż „własność“ albo „kwalifikacje“ może ono nadać w poezji już nawet nie główce kapusty ale choćby głowie Kościuszki?

I jeszcze jedno. P. Łaszowski ma nieznośną manię odkrywania Ameryk i wywalania otwartych drzwi. Powiada np.: „Jedną z kapitalnych zdobyczy nowej liryki było właśnie burzenie ustalonego układu ważności“. Nieprawda. Jak wyżej wspomniałem, dokonał tego Tuwim dwadzieścia lat temu, a pozatem każdy okres literacki „burzy“ zastany przez siebie „układ ważności“, a ustanawia nowy. Najkapitalniejszym dowodem na to może być właśnie t. zw. „awangarda“: głosi prymat formy nad treścią.

Przykro mi bardzo, że tyle pasji i entuzjazmu zużywa p. Łaszowski na obronę spraw nieistotnych i na odkrywanie rzeczy dawno już odkrytych. Zbytnia pochopność w polemice nie zawsze popłaca. Stoję bowiem przy swoim zdaniu: „Nie można budować elektrowni do poruszania młynka od kawy“.

MARIAN PIECHAL

KRONIKA



Portret Kościuszki w Muzeum w Solurze

OTWARCIE MUZEUM KOŚCIUSZKOWSKIEGO W SOLURZE

27 września r. b. odbyło się w Solurze otwarcie Muzeum Kościuszkowskiego. W związanej z tym uroczystości brali udział przedstawiciele trzech państw: Polski, Stanów Zjednoczonych i Szwajcarii. Ze strony Polski byli: minister Józef Beck z członkami delegacji polskiej przy Lidze Narodów oraz min. pełnomocny Modzelewski z personelem naszego poselstwa w Bernie; Stany Zjednoczone reprezentował min. pełnomocny w Bernie Mr. Wilson; Szwajcarię — członkowie rządu federalnego pp. Motta i Obrecht, członkowie władz kantonu i miasta Solury oraz liczni przedstawiciele miejscowego społeczeństwa. Inauguracja Muzeum odbyła się w ratuszu miasta Solury, na posiedzeniu Wielkiej Rady Kantonalnej. Muzeum mieści się w dawnym mieszkaniu Kościuszki. Jeden z pokojów urządzono tak jak był za życia Kościuszki, w drugim zgromadzono przedmioty pamiątkowe związane z osobą Naczelnika oraz zabytki odnoszące się do epoki kościuszkowskiej. Przedstawiciele miasta postanowili nazwać jedną z ulic Solury imieniem Tadeusza Kościuszki. W przeddzień uroczystości dzienniki *Solothurner Zeitung* i *Solothurner Anzeiger* wydały specjalne dodatki z licznymi artykułami, poświęconymi dziejom i znaczeniu Kościuszki. Dodatki są pięknie ilustrowane i zawierają bardzo podniosłe i serdeczne pozdrowienia dla przybywających na uroczystość przedstawicieli narodu polskiego. „Składając dziękczynny hołd Kościuszce, szlachetnemu bojownikowi o wolność i przyjacielowi ludzkości, dajemy świadectwo naszej przyjaźni i szacunku dla jego wielkiego narodu“ — pisze w zakończeniu wstępnego artykułu *Solothurner Anzeiger*.



Pokój, w którym umarł Kościuszko



Bundesrat Motta, Minister Beck i Bundesrat Obrecht na inauguracji Muzeum Kościuszkowskiego w Solurze

NOWE KSIĄŻKI

ETNOLOGIA

SARA BENETOWA: *Konopie w wierzeniach i zwyczajach ludowych.* Warszawa 1936. Towarzystwo Naukowe Warszawskie. (Prace Etnologiczne Instytutu Nauk Antropologicznych i Etnologicznych Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. 2. Redaktor Stanisław Poniatowski). Str. 52. Zł. 3.—.

We wstępie czytamy, że autorka zamierzyła w pracy tej „rozpatrzyć, jaką rolę w wierzeniach i zwyczajach ludowych odgrywają konopie, dostarczające, jak wiadomo, jednego z najsilniejszych narkotyków, a mianowicie haszyszu“. Rzecz składa się z następujących rozdziałów: I. Charakterystyka botaniczna konopi i ich rozmieszczenie geograficzne. II. Konopie jako roślina techniczna i jadalna. III. Fizjologiczne działanie konopi na organizm. IV. Sposoby narkotyzowania się konopiami i ich rozmieszczenie. V. Konopie a kultura duchowa: 1. Zastosowanie konopi w medycynie ludowej. 2. Zastosowanie konopi w magii. 3. Konopie a religia. 4. Konopie a życie społeczne. 5. Zabiegi magiczne powodujące pomyślny rozwój konopi. 6. Geneza haszyszowania się. — Na końcowych czterech stronicach mieści się francuskie streszczenie pracy.

STANISŁAW DWORAKOWSKI: *Zwyczaje rodzinne w powiecie wysoko-mazowieckim.* Melodie zapisał Wacław Mikołajczyk. Warszawa 1935. Towarzystwo Naukowe Warszawskie. (Prace Etnologiczne Instytutu Nauk Antropologicznych i Etnologicznych Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. 3. Redaktor Stanisław Poniatowski). Str. 192 i mapa. Zł. 8.

Autor pisze w przedmowie: „Praca niniejsza jest pierwszą częścią zamierzonej większej monografii powiatu wysoko-mazowieckiego i obejmuje zwyczaje rodzinne. Następne tomy będą traktowały o kulturze materialnej i duchowej oraz o zwyczajach dorocznych, codziennych, prawnych i towarzyskich miejscowego ludu. Pracę poprzedza wstęp, w którym podaję ogólną charakterystykę terenu, poczem następują trzy rozdziały, z których pierwszy zawiera zwyczaje narodzeniowe, drugi weselne, a trzeci pogrzebowe. Na końcu zamieściłem dodatek nutowy do pieśni chrzcinowych i weselnych“. W dodatku nutowym zanotowano 69 melodyj (z tekstami pieśni).

HISTORIA

LEOPOLD STANISŁAW GÜNSBERG: *Książka o Wielkim Wodzu.* Z przedmową Gen. Bryg. Bolesława Poppowicza. Lwów 1936. Wydawnictwo „Skaut“. Str. 237 i 15 ilustracyj. Zł. 3.50.

Książka o Wielkim Wodzu, oparta na najnowszych źródłach, daje wierny obraz życia Pierwszego Marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego. Wiedzie czytelnika przez wszystkie fazy Jego żmudnej, twórczej pracy, pozwalając wniknąć w najdrobniejsze jej szczegóły. Omawiając obszernie młodzieńczą i strzelecko-legionową działalność wodza, Jego rządy jako Naczelnika Państwa i Wodza Narodu, wyprowadza syntezę wielkości Marszałka. Całość, ujęta w 9 rozdziałów, zakończona bibliografią i ożywiona 15 mało znanymi ilustracjami z życia Marszałka oraz cytatami z Jego pism, zasługuje na popularność dzięki wartości ideowej i literackiej.

PAMIĘTNIKI

MELCHIOR WAŃKOWICZ: *Strzępy Epopei.* Wydanie trzecie powiększone. Warszawa 1936. Tow. Wydawn. „Rój“. Str. 295. Zł. 5.

Strzępy Epopei jest to książka, w której poszczególne opowiadania są dobrane ze świadomym zamiarem. Z tej książki będzie się uczyć pokolenie powojenne, z jakich elementów woli budowała się epopeja uzyskania niepodległego bytu. To powojenne pokolenie ma przed sobą inne, ale równie nieprzeniknione mgławice. Dobrze więc, jeśli do rąk jego dostanie się książka, która jest peanem na cześć instynktu.

Trzecie wydanie tej książki zostało powiększone o trzy nowe opowiadania: *Związek broni*, *Ostatnie słowo* i *Rozkoszna Pała*.

PODRĘCZNIKI

M. ARCTA *Słownik ortograficzny języka polskiego.* Wydanie szóste. Nowa pisownia, uchwalona przez Komitet Ortograficzny Polskiej Akademii Umiejętności w roku 1936. Warszawa 1936. M. Arct. Str. 380. Zł. 10.—; w opr. płóc. zł. 13.—.

Zatwierdzenie uchwał Komitetu Ortograficznego przez Ministerstwo W. R. i O. P. i wprowadzenie nowej pisowni do administracji, szkolnictwa, prasy i t. p. uczyniło sprawę nowego słownika ortograficznego niesłychanie aktualną. Znana ze swego długoletniego doświadczenia w dziedzinie słowników firma wydawnicza M. Arcta wydała słownik, łączący w sobie cechy wszystkich wydawnictw omawianego nakładcy: staranność opracowania z estetycznością formy.

Wydawnictwo to było tym potrzebniejsze, iż szereg słowników, znajdujących się w handlu księgarskim, jest przeznaczony do użytku szkolnego i nie może zadośćuczynić potrzebom biura, redakcji, urzędu czy piszącego inteligenta. Dla nich właśnie jest przeznaczony omawiany słownik, będący największym tego rodzaju wydawnictwem w Polsce (ponad 60000 wyrazów).

Bogactwo wyrazów, wyczerpująco a zwięźle ujęte zasady pisowni polskiej, które opracował przejrzyście wybitny językoznawca, prof. Uniwersytetu Warszawskiego St. Szober, tablica, podająca zasady dzielenia głosek przy przenoszeniu wyrazów, czynią tę książkę cennym nabytkiem każdego piszącego.

Oprócz swego zasadniczego przeznaczenia *Słownik* może oddać znaczne usługi przez podawanie przy wszystkich wyrazach końcówek deklinacyjnych i koniugacyjnych. Staje się przez to doskonałym poradnikiem językowym dla piszącego.

STAN. Z. ZAKRZEWSKI: *Ogłoszenie prasowe.* Warszawa 1936. Wydawnictwa Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism. Tom IV. Str. 99. Zł. 4.—.

Polski Związek Wydawców Dzienników i Czasopism podjął w latach ostatnich wydawanie prac poświęconych najważniejszym zagadnieniom prasowo-wydawniczym. Pierwsze trzy tomy Wydawnictw Związku Wydawców poświęcone zostały zagadnieniom ustawodawstwa prasowego i służby agencyjno-informacyjnej.

Obecnie ukazał się na półkach księgarskich tom IV Wydawnictw Związku Wydawców, poświęcony sprawom ogłoszeniowym p. t. *Ogłoszenie prasowe.* Autorem książki jest p. Stanisław Zenon Zakrzewski, prezes Polskiego Związku Reklamowego, członek rady administracyjnej Międzynarodowego Związku Reklamowego, profesor reklamy w Wyższej Szkole Dziennikarskiej i dyrektor działu ogłoszeń Polskiej Agencji Telegraficznej.

Nowa praca p. St. Z. Zakrzewskiego, autora szeregu prac publicystycznych poświęconych zagadnieniom reklamy, jest wynikiem długoletnich studiów teoretycznych i praktycznych doświadczeń jej autora.

Z uwagi zarówno na osobę autora jak i na ciekawe ujęcie tematu nowa książka wywoła bez wątpienia żywe zainteresowanie wszystkich tych, którzy rozumieją znaczenie reklamy prasowej dla życia gospodarczego.

Wybór książek dla dzieci i młodzieży. Powieści — Opowiadania — Poezje. Praca zbiorowa pod redakcją WANDY DĄBROWSKIEJ. Warszawa 1936. Poradnia Biblioteczna Związku Bibliotekarzy Polskich. Str. 63.

Wybór obejmuje belletrystykę na wiek od 7 do 15 lat włącznie. Jest to katalog r o z u m o w a n y złożony z dwóch zasadniczych części. Pierwsza, stanowiąca odbitkę z drukującego się obecnie II tomu katalogu informacyjnego *Książka w bibliotece*, zawiera 185 pozycyj wydawnictw z lat 1933—1935 włącznie, podając obok pełnego tytułu wraz z ceną zwięzłą c h a r a k t e r y s t y k ę książki i znak jej przydatności dla poszczególnych grup wieku. Część II obejmuje tytuły 461 książek omówionych w I-szym tomie katalogu *Książka w bibliotece* z oznaczeniem tylko stopnia przydatności i aktualnej ceny. Tekst uzupełniają: a) skorowidze tematowo-zagadnieniowe, dające bliższy wgląd w literaturę dla dzieci i młodzieży i ułatwiające poważnie dobór książek, oraz b) wymowa nazwisk autorów obcych.

Katalog przeznaczony dla bibliotek szkolnych i publicznych, rodziców i wychowawców odda niewątpliwie rzetelne usługi wszystkim, którzy kierują czytelnictwem dzieci i młodzieży.

POEZJA

JACEK MARIA ORLIK: *N d olesiem cisza...* Poezje. Janowa Dolina 1936. Str. 32.

Regionalny debiut poetycki.

POWIEŚĆ

JERZY ANDRZEJEWSKI: *Drogi nieuniknione.* Warszawa 1936. „Prosto z mostu“. Str. 188. Zł. 5.—.

Na tom składają się trzy nowele: *Koniec*, *Kłamstwa* i *Ucieczka.* Interesującemu debiutowi pisarskiemu *Pion* poświęci osobne omówienie.

PUBLICYSTYKA

STANISŁAW PIASECKI: *Prawo do twórczości.* Warszawa 1936. „Prosto z mostu“. Str. 301. Zł. 5.—.

O tym tomie szkiców społeczno-literackich napisze w *Pionie* Karol Irzykowski.

DOLEŻYK KAROL: *Rozważania polityczne.* Część I. Wolność. Chorzów 1936. Nakład autora. Str. 235. Zł. 7.30 z przesyłką.

W odezwie do redakcji autor pisze, że praca jego zajmuje się „krytyczną oceną pojęcia wolności osobistej człowieka i jego znaczenia oraz jego wpływu na życie człowieka i społeczeństwa“.

REDAKCJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., ½-rocznie 9.50 zł., rocznie 18 zł.; zagranicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Blankiety rozrach. Nr. kartoteki 85. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szer. 1 szpalty — 60 gr. za tekst.; 80 gr. w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor: LEON PIWIŃSKI — Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.